



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Kazimierz Panów

Zdołbunowskie wspomnienia Spowiedź bez konfesjonału

Głównym powodem spisywania swoich przeżyć z lat 1941-1945 była przemożna wewnętrzna potrzeba ukazania w odpowiednim czasie dzieciom i wnukom niełatwych czasów wojennych, klimatu i sytuacji dotyczących Polaków na Zabużu, głównie na Wołyniu. Długo przymierzałem się do tej roboty. Czas 32-letniej zawodowej służby wojskowej w WOP-ie nie był sprzyjającym czynnikiem w realizacji tego zamierzenia. Tym bardziej, iż ponad 12-letni okres zszedł mi na wykonywaniu funkcji dowódcy grupy rozminowania. Ciągłe wyjazdy w teren zabierały wiele czasu, na tyle, że o moim „literackim” zamiarze nie było kiedy myśleć. Po przejściu w stan spoczynku taka możliwość się pojawiła. Rozpocząłem tę pracę w drugiej połowie lat 70. Po ukończeniu tekst poszedł do szuflady, czekając na stosowną okazję. Ta pojawiła się dnia 15 sierpnia 1998 roku, kiedy przeczytałem o konkursie „Moje wojenne dzieciństwo” w „Przeglądzie tygodniowym”.

Moja relacja była przeznaczona do kameralno-rodzinnego czytania. Z uwagi na to pisana była potocznym, domowym językiem, jest momentami szczerza aż do bólu. Ukazywałem siebie (i nie tylko) w sytuacjach nie przylegających do zasad dobrego wychowania. Niektóre z tych zdarzeń nie tylko wynikały z braku zasad, a wymuszane niejako były sytuacją pustego żołądka. Szczery tryb opisu wynikał z tego, że moje dzieci i wnuki mają prawie żadną wiedzę o zawiłościach i niuansach opisanego czasu.

Końcowy okres władzy radzieckiej i początek okupacji niemieckiej na Wołyniu w Zdołbunowie

Mając 12 lat osłuchany byłem wśród starszych na różne aktualne tematy, którymi wówczas społeczeństwo Wołynia żyło. W rozmowach tych przewijała się kwestia nieuchronności konfliktu niemiecko-radzieckiego. Na ile opierano się na głębszych analizach w sytuacji międzynarodowej a na ile na powierzchownych symptomach, trudno mi dzisiaj stwierdzić. W każdym razie z tego co pamiętam, znaczną rolę odgrywały fragmentaryczne wypowiedzi (w chwilach szczerości) nasiedlonych obywateli radzieckich z dalszych rejonów ZSRR. Niektórzy z nich wręcz twierdzili, że pachnie prochem (czto pachniet porochom). Sprawa była dość delikatna, ponieważ tamte czasy charakteryzowały się kultem jednostki to raz, a po drugie obowiązywał oficjalnie określony kurs polityczno-propagandowy

w polityce ZSRR z uwagi na trwający pakt o nieagresji, między Związkiem Radzieckim a Niemcami hitlerowskimi. Dzisiaj to rozumiem, ponieważ wiem, że Stalin dopuszczał możliwość agresji hitlerowskiej na ZSRR, ale chciał zyskać na czasie tyle, ile się tylko da. Wówczas nie wszystkie te subtelności ludność polska na Wołyniu mogła znać. Z tego co pamiętam obawa władz radzieckich, by nie dać się sprowokować, była posunięta bardzo daleko, że kiedy latem w 1941 roku zjawiał się w locie koszącym niemiecki samolot (widzieliśmy czarne krzyże pod skrzydłami), Rosjanie wmawiali nam na siłę, że to nieprawda, żeśmy się co do oznakowania samolotu pomylili.

Potem przyszła zmiana, kiedy to sporo dogodnych miejsc wypełniono działaniami przeciwlotniczymi. Kiedy pytano Rosjan co się dzieje, odpowiadano – zbliżają się wielkie manewry (sobliżajutsia bolszyje maniobry). Zarządzono przy tym obywatelską służbę przeciwlotniczą. Miejscowe społeczeństwa mając doświadczenie z 1939 roku domyślało się, że nie o manewry chodzi. O tym, że władze radzieckie na miarę swoich możliwości przygotowywały kraj do obrony, może świadczyć fakt prowadzenia w szkołach szkolenia w przedmiocie ochrony ludności przed napadami lotniczymi, w tym broni chemicznej. Pamiętam też, jak jeszcze zimą z 1940 roku na 1941 na zarządzenie władz miasta Zdołbunowa starsza młodzież pod kierunkiem oficerów przeprowadzała ćwiczenia na temat obrony rubieży miasta. Gwoli sprawiedliwości i mądrych taktycznie przewidywań w tym przedmiocie stwierdzić trzeba, że w czerwcu 1941 roku niektóre elementy obrony sprawdziły się podczas działań osłonowych dokonanych przez komsomolców, bowiem kilku komsomolców na ćwiczonych wcześniej rubieżach miasta ostrzelało zwiad nadciągającego Wehrmachtu. W odwet za to, tak przypuszczam, nocą Niemcy przeprowadzili jednogodzinny ostrzał artyleryjski miasta, który na szczęście poważniejszych szkód nie przyniósł, jeśli nie liczyć, że jedna kobieta – Żydówka dostała pomieszenia zmysłów i chodziła po ulicach miasta mówiąc od rzeczy.

W tym momencie trzeba się cofnąć do kwestii polskiej w Zdołbunowie i pokazać ją tak, jak pamiętam. Stosunek Polaków do władz radzieckich był niejednorodny oraz okresowo się zmieniał. Problem polegał na tym, że w 1939 roku, kiedy armia radziecka weszła na Wołyń, Polacy niezależnie od pozycji społecznej i spojrzenia klasowego na władzę radziecką, mieli co najmniej mieszane uczucia. Biedacy, a takich nie brakowało w mieście, specjalnych obaw o przyszłość nie mieli lub zostały one wyciszone dzięki niezłej pracy propagandowej oficerów radzieckich. Od pierwszych chwil wyjaśniali oni idee internacjonalizmu, podkreślając, że władza radziecka to władza biedaków, że nie będzie bezrobotnia itd. Trzeba przyznać, że po przejściowym okresie skończyły się trudności aprowizacyjne w sklepach, chociaż kolejki za niektórymi artykułami żywnościowymi bywały, ale w miarę stabilizacji ustępowały. Co najważniejsze, bezrobotni z miasta i cała okoliczna biedota mogła znaleźć pracę i jakoś w miarę po ludzku żyć. Mój ojciec otrzymał pracę w porodówce, o której przed wojną nikt nie marzył. W ogóle rozbudowano potężnie służbę zdrowia. Dla nas, biedaków, była to ważna sprawa, ponieważ przed wojną pomoc lekarską można było otrzymać w poważniejszych przypadkach tylko drogą opieki społecznej. W tej sytuacji biedota polska w mieście wyciągnęła prosty wniosek, że ci bolszewicy i ich władza nie jest taka zła i da się w tej sytuacji jakoś żyć.

Inny pogląd miała miejscowa inteligencja polska, ponieważ wszystkie jak to się dzisiaj mówi uprzedzenia socjalne miała. Sytuacja materialna tej grupy ludzi była z oczywistych powodów zupełnie dobra. Dla nich poza nielicznymi wyjątkami władza radziecka była z wielu względów niewygodna i w wielu przypadkach groźna, co się w niedługim czasie miało sprawdzić. Szczególne obawy żywili i nie bezpodstawnie tak zwani osadnicy, którym jak się u nas popularnie mówiło, nadał majątki na Wołyniu Piłsudski. Ci ludzie w wielu przypadkach wywodzący się z dołów społecznych „winni” byli tyle, że brali udział w wojnie polsko-radzieckiej. W przeważającej masie wcale nie ochotniczo, ale z ogólnej mobilizacji. Kiedy zaczęto wywozić ich na Syberię w czasie bardzo mroźnej zimy, jaka miała miejsce z 1939 na 1940 rok w delikatnie mówiąc niehumanitarnych warunkach, uważano, że dzieje się wielka niesprawiedliwość. Chociaż podobne przypadki i to nierządnie miały miejsce w odniesieniu do niektórych Ukraińców i Rosjan. Byli to ludzie przeważnie bogaci lub wysoko wykształceni np. lekarze. Wywózka na Sybir dotyczyła nie tylko „podejrzanych lub obwinionych” ale całych ich rodzin. Wywożenie w głąb Związku Radzieckiego nie ominęło też przedwojennej policji i ich rodzin oraz ludzi związanych w jakikolwiek sposób z przedwrześniowymi władzami Polski. Klimat stworzony przez miejscowe władze perfidnie wykorzystali miejscowi (jak się potem okazało nacjonaliści ukraińscy), którzy udając przyjaciół władzy radzieckiej kierowali służbę bezpieczeństwa na własne akcje odwetowe. Podobnej „pomyłki” dokonano za tak zwanych drugich sowietów. Fakt ten miał miejsce po zakończeniu okupacji niemieckiej na Wołyniu w 1944 roku, kiedy polskie roczniki nadające się do wojska znalazły się w armii gen. Berlinga i kiedy I Korpus rozbudował się do rozmiarów I armii. Wówczas w Zdołbunowie przeprowadzono mobilizację młodzieży polskiej urodzonej w 1927 roku. Wiadomo było wszystkim, że nasi chłopcy idą do Berlinga. Jak się potem okazało dołączono ich celowo (wskutek zabiegów miejscowych nacjonalistów spod znaku OUN i UPA) do transportu złapanych banderowców i wywieziono na Ural do Swierdłowska. Dopiero rozpaczliwe pisanie do Wandy Wasilewskiej spowodowało, że nasi chłopcy po długich perypetiach dostali się do jednostek gen. Berlinga. Z naszych bliskich i znajomych

wywieziony został wujek Stanisław Lebioda i doraźny pracodawca ojca przed wojną, Ukrainiec lekarz medycyny dr Mazurec. Wujek Stach został wywieziony prawdopodobnie dlatego, że brał udział w wojnie polsko-radzieckiej w 1919-20, natomiast w odniesieniu do dr Mazurca przyczyny są nieznane. Jedno jest pewne, że moja rodzina i okoliczni mieszkańcy bardzo go żalowali, ponieważ był on bardzo dobrym i uczynnym lekarzem. W wielu przypadkach bezinteresownie pomagał okolicznej biedocie.

W miarę naszej stabilizacji materialnej nasz stosunek do władzy radzieckiej stawał się bardziej poprawny, a momentami jak pamiętam nawet przyjazny. Zawieraliśmy znajomości i przyjaźnie z ludźmi przybyłymi z głębi Związku Radzieckiego. Ci ludzie obsadzali stanowiska wielu nowych instytucji, jakie powstały w tym czasie. Kiedy wspominam ten okres to naprawdę z przyjemnością o tym piszę, ponieważ był to okres, kiedy w domu naprawdę było co jeść i miałem się w co ubrać. Gwoli ścisłości nie było nam rozkosznie, ale naprawdę zupełnie znośnie. Ojciec, jak wspomniałem, pracował na porodówce jako dozorca-sprzątac. Trzymaliśmy na terenie porodówki (byłe miejsce zamieszkania starosty) sporo królików, co nie było dla nas bez znaczenia. Wspominając tamte czasy nie sposób nie napisać kilku ciepłych zdań o naszych znajomych Gruzinach. A było to tak. Miasteczko Zdołbunów jest i dzisiaj jednym z mniejszych miast zachodniej Ukrainy. Zdołbunów to takie pół miasto pół wieś o parterowych domkach z ogródkami kwiatowymi przed oknami. Niskie płoty kolorowo malowane odgradzały poszczególne posesje od dość wąskich ulic. Przeciwna strona ulicy też ogrodzona schludnym płotkiem oddalona była o około dziesięć metrów. Mój ojciec miał zwyczaj w wolnych chwilach odpoczywać opierając się o płotek, w ten sposób nieraz prowadził pogawki z sąsiadami i znajomymi – typowo małomiasteczkowy klimat. Pewnego pogodnego niedzielnego poranka, przez otwarte okno w kierunku ulicy usłyszeliśmy podniecony głos ojca mówiącego coś po rosyjsku. Niech czytających kiedyś moich wnuków nie dziwi język rosyjski, ponieważ prawie każdy mieszkaniec Wołynia zupełnie swobodnie posługiwał się językiem polskim, ukraińskim i rosyjskim, czeski też wielu dobrze znało, a na pewno wszyscy go doskonale rozumieli. Po pewnym czasie ojciec wpadając do domu jak bomba oznajmił nam wszystkim, że rozpoznał swego kolegę Gruzina, z którym zaprzyjaźnił się podczas pobytu na Kaukazie w okresie rewolucji i wojny domowej w Rosji. Oczywiście z takiej okazji w obydwu domach po przeciwnej stronie ulicy trwało święto kilka dni. Przyjaźń domów trwała przez długi czas aż do chwili mego wyjazdu do Polski. W każdym razie zawsze wspominam z dużą estymą tych wspaniałych dobrych acz prostych ludzi. Marzy mi się z nimi, a raczej z ich dziećmi spotkanie, może kiedyś do tego dojdzie – zobaczymy.

Ja w tym czasie chodziłem do szkoły, robiłem czwartą i piątą klasę. Orłem w nauce nie byłem, jakoś przechodziłem z klasy do klasy. Charakter mój i być może niejakie zdolności zaczęły się rozwijać w drugiej połowie okupacji. Szkoła miała urzędowy język ukraiński i rosyjski, był też nauczany język polski w sensie prawidłowego posługiwania się nim. To, co z tamtego okresu zapamiętałem, a co było dla mnie nowe, to masowy rozwój kultury fizycznej, bowiem odbywało się całe mnóstwo imprez tego typu. Pozostał we mnie do dzisiaj pociąg do sprawności fizycznej. Moja rodzina i ja też utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie ze znajomymi sprzed wojny. Pamiętam takie nazwiska jak cały klan rodzinny Sidorów, Ryszków czy wreszcie Olczaków, z którymi do dzisiaj jestem emocjonalnie związany, ale to już inny temat.

Czas wracać do wątków wspomnieniowych. Stosunek ludności polskiej na Wołyniu do konfliktu radziecko-niemieckiego był inny. Chodziły ciche pogaduszki między znajomymi, że jeśli do czegoś dojdzie, to nie wiadomo czy Polakom z dwojga złego może nie będzie lepiej pod Niemcami, no bo oni to kultura wysoka itd. Była to jak się okazało, umiejętnie sączona w ludność polską niemiecka propaganda, uprawiana dość skutecznie przez kolonistów niemieckich pozostałych w pewnym odsetku na Wołyniu. Piszę w pozostałych, ponieważ pewna część ludności niemieckiej na przełomie lat 1939-40 wyjechała za Bug w ramach porozumienia radziecko-niemieckiego. Ludność niemiecka głównie pozostawała w koloniach, były to wsie bardzo dobrze zagospodarowane, na podobnym poziomie jak u Czechów, których też w naszych stronach było sporo. Po opanowaniu Wołynia przez Niemców szybko przekonaliśmy się o ich „kulturze”.

Tuż przed wybuchem wojny matka ze starszą o dwa lata siostrą wyjechała do najstarszej siostry (zameżnej) do Kowla, tak że ten pierwszy okres okupacji niemieckiej przeżyłem bez matki, szczerze mówiąc, deprymująco to na mnie wpłynęło. We wczesnych godzinach rannych obudził nas warkot przelatujących samolotów. Był to pamiętny dzień 22 czerwca 1941 roku. Całe lato jak i ten dzień był bardzo ładny. Takie pory letnie wydaje mi się, bywają tylko na Wołyniu. Na tle błękitu nieba doskonale było widać sylwetki samolotów, a wokół nich białe obłoczki rozrywających się pocisków artylerii przeciwlotniczej, znajdującej się jak wcześniej wspomniałem, na placach Zdołbunowa. Patrząc z ziemi, wydawało się, że samoloty nic sobie z tej strzelaniny nie robią.

Pytaliśmy Rosjan, a w tym wojskowych i pracowników administracji radzieckiej – co to wszystko znaczy? Odpowiadano nam, że to manewry (czto eto maniobry), około południa wszyscy dowiedzieliśmy się, że to niestety wojna. Byliśmy z jednej strony zastraszeni tym, co się działo, a z drugiej ciekawi, jak się to wszystko potoczy. Z uwagi na mieszane uczucia, jakie panowały w naszym polskim

środoisku, ja się też wygłupiłem. Zrobiłem miniaturową chorągiewkę biało-czerwona i umieściłem ją na pobliskim płocie. Piszę o tym nie dlatego, żeby pokazać, jaki to ja wtedy byłem bohater. Chodzi o to, że chcę unocznić, w jaki naiwny sposób liczyliśmy na jakieś mistyczne poprawienie doli Polaków. Na usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że na Wołyniu nie mieliśmy żadnych informacji o losie Polaków na terenach zajętych przez Niemców. Nadzieje Polaków po wejściu Niemców szybko się rozwiały. Natomiast nacjonałści ukraińscy przeważnie liczyli, jak się okazało, na zbudowanie Samostijnej Ukrainy. Taki mniej więcej był splot stosunków społeczno-narodowościowych na Wołyniu przed wybuchem i w czasie pierwszych dni wojny radziecko-niemieckiej. Piszę o tym z uwagi na to, że ten splot uwarunkowań będzie mocno działał na losy Polaków na Wołyniu, a zatem i na moje losy.

W drugim czy trzecim dniu wojny zobaczyliśmy identyczne obrazki jak w 1939 roku. Przelotowe ulice miasta przepelnione były jednostkami, sztabami (dużo osobowych samochodów) i instytucjami radzieckimi zdążającymi pospiesznie w kierunku wschodnim. Kiedy wycofały się władze miasta, nie zauważyłem. Z tych dni zapamiętałem następujące obrazki. Pewnego popołudnia przy pięknej pogodzie, przez naszą ulicę przemaszerował na wschód w szyku bojowym mały pododdziałik, chyba w sile plutonu, umęczonych żołnierzy radzieckich. Pomimo tego, że ludność polska miała różny stosunek do władz radzieckich, to w tej ludzkiej żołnierskiej biedzie Polacy szczerze im współczuli, podając im jedzenie i coś do picia. Pamiętam, jak by to było dziś, jak ta grupka umęczona do granic wytrzymałości wyrażała swą wdzięczność za ten, wydawało by się z naszej strony, normalny gest pomocy w nieszczęściu. Opisuję ten moment dlatego, że jak się potem dowiedzieliśmy, na niektórych trasach odwrotu wojsk radzieckich miejscowi nacjonałści ukraińscy lub też przetrzuceni ukraińscy dywersanci wyszkoleni w Niemczech, ostrzeliwali wycofujące się kolumny radzieckie. Dopuszczano się też mordów na pojedynczych żołnierzach lub małych zabłąkanych grupkach, z tym, że były to rzadkie wypadki, ale bywały. Trzeba też podkreślić, że sporo pojedynczych żołnierzy radzieckich ocalało dzięki pomocy miejscowej ludności ukraińskiej, która w odpowiednim czasie włączała się do radzieckich oddziałów partyzanckich. Jednak zdarzało się i tak, że ci, którzy ocalili w pierwszym okresie, ginęli z rąk banderowców, zanim radzieckie oddziały partyzanckie doszły na tereny Wołynia. Z pełną odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że w chwili wycofania się wojsk radzieckich potworna hydra nacjonalizmu ukraińskiego wyszła na światło dzienne i szykowała się do morderczego skoku, który trwał wiele lat.

Któregoś dnia, kiedy Zdołbunów był jeszcze w strefie tak zwanej ziemi niczyjej, wybraliśmy się z ojcem do pobliskiej wsi Bogdaszów, położonej tuż za granicami miasta, gdzieś w połowie za kolejnym zakrętem, natapoczyliśmy się na niemiecki patrol rozpoznawczy. Zatrzymali się oni w cieniu drzew stojąc przy swoich motocyklach. Jeden z nich sprawdził ojcu dokumenty, coś poszwargotał i puścił nas dalej. Do dzisiaj nie wiem, czy umiał czytać po rosyjsku, czy brał na bluff wszystkowiedzącego. Kiedy szliśmy z powrotem z żywnością już ich w tym miejscu nie było. To spotkanie zrobiło na mnie potężne wrażenie, ponieważ wydawało się, że oni są jacyś wielcy, silni, niczym jakieś mityczne niezwyciężone wojsko. Dziś zdaję sobie sprawę, że pierwszorzutowe jednostki były naprawdę doborowymi wojskami Wehrmachtu.

Po powrocie do wsi dowiedzieliśmy się, że na bocznicach kolejowych stoi dużo transportów z rozmaitym dobrem. W związku z tym, pobiegłem do swego serdecznego kolegi Wacka Olczaka i obydwaj udaliśmy się na szaber. Myszując po wagonach wybraliśmy sobie po jednym małym toporku wojskowym, wzięliśmy sobie trochę papryki i pieprzu i po kilka butelek słodkich wódek. Nie obyło się bez degustacji, łyknęliśmy z Wackiem jakiegoś chyba likieru (było to słodkie i kolorowe) – piło się dobrze, ale i skutek był wiadomy. Ruszyliśmy ze zdobyczą do domu. Idąc zwracaliśmy bacznie uwagę na linie ułożenia chodników, nie dlatego, by sprawdzać fachowość mistrzów brukarstwa, ale po to, żeby mieć przekonanie, że idziemy prosto. Mimo wszystko przygoda skończyła się bezboleśnie. Prawdopodobnie ojciec nie zwrócił na mnie dostatecznej uwagi, być może zaaferował się przyniesionym alkoholem, który w tych dniach został wypity u naszych znajomych Ryszków i Sidorów.

Miasteczko nasze, jak dzisiaj oceniam, około tygodnia było niczyje. Z niepokojem odbierałem ten dziwny stan. Ludzie niby chodzą, tyle że trochę mniej, z oddali słychać groźny pomruk artylerii, widać lecące wraże bombowce niosące ludziom śmierć, później słychać głuchoe detonacje, których odgłos pod czystym błękitem nieba wołyńskiego przetaczał się bardzo daleko. Stan nietypowej pustki, czające się bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo wpływało na nasze samopoczucie. Tym bardziej, że przewidujący Żydzi wykorzystując istniejącą sytuację, uchodzili na wschód w ślad za wycofującą się armią radziecką. Ci, co uciekli, bardzo dobrze zrobili, ponieważ hitlerowcy spowodowali totalną zagładę Żydów na Wołyniu.

Wspominałem przedtem o wrażeniu, jakiego doznałem przy pierwszym zetknięciu się z żołnierzami Wehrmachtu. W tych dniach odczucie to było pogłębiane i innymi doznaniem w zakresie przewagi hitlerowców nad armią radziecką. W dniach „ziemi niczyjej” nad miastem zobaczyłem lotniczą walkę powietrzną. Niemiecki myśliwiec wyczyniał powietrzne esy floresy nad radzieckim małym samolocikiem typu kukuruźnik. To maleństwo niezbyt ruchliwe i o stosunkowo niewielkiej szybkości robiło, co mogło, byle nie wystawić się w dogodnej pozycji strzeleckiej niemieckiemu pilotowi.

W pewnych momentach odszczekiwało się w stronę hitlerowca. Wszystkie wysiłki radzieckiego pilota na niewiele się zdały, chociaż wywijał się jak piskorz z sieci. Chyba z braku benzyny czy z innego powodu poszedł lotem koszącym i wylądował na łące tuż przy skraju miasta, a niemiecki myśliwiec odleciał. Ja i wielu moich rówieśników od razu pobiegło zobaczyć samolot. Samolot stał na oko nieuszkodzony, pilota już nie było, rzecz dla takich chłopców wielce frapująca. Jeden z nas chyba najbardziej odważny wszedł do wnętrza samolotu i widocznie nieumyślnie nacisnął spusty karabinu maszynowego. Wynik był tragiczny, jeden z obecnych chłopaków zwał się na ziemię zalany krwią, dostał kilka pocisków z bliskiej odległości, ratować nie było co. Przeżycie tego tragicznego epizodu było dla nas wszystkich niezłą nauką.

Jeszcze kilka zdań o frontowych jednostkach niemieckich. Były one wspaniale wyposażone. Wiele samochodów miało przygotowane urządzenie podobne do drabinki linowej, tyle że gęściej były zamocowane drewniane szczebelki, długości ono miało kilka metrów. W razie grząskiego terenu podkładano pod koła i przejeżdżano dość gładko. Drabinki były założone na przednich błotnikach samochodów. Jest ciekawe, że takie drobiazgi zakodowały się gdzieś w łepetynie 12-latka. Myślę, że wzięło się to z ciągłych uwag i dyskusji, jakie prowadzili dorośli w mojej obecności, mówiąc o pierwszych przewagach Niemców. Zdziwieni trochę byliśmy i tym, że widziało się u żołnierzy niemieckich dużą dbałość o higienę osobistą, jeśli tylko mieli jakiś odpoczynek w marszu widać było mycie, golenie, strzyżenie itd. Do pełnego obrazu z tych dni trzeba dodać, że stosunek niemieckich jednostek frontowych do ludności cywilnej na Wołyniu był na ogół poprawny.

W kilka dni później obudziliśmy się na odgłos potężnych detonacji. Ubraliśmy się z ojcem na wszelki wypadek. Wychodząc na podwórko zobaczyliśmy, że w rejonie bocznic kolejowych podczas wybuchów wytryskują olbrzymie gejzery ognia. Domyśliliśmy się, ktoś podłożył ogień pod stojące transporty wagonów z paliwem, które nie zdążyły odjechać przed Niemcami na wschód. Spłonął cały transport, ile tego było, nie wiem, ale musiało być dużo, bo detonacje grzmiały do białego rana. Jest to moim zdaniem autentyczny akt sabotażu a kto wie czy nie samorzutny. Godnym również podkreślenia jest fakt, że mimo braku czasu na Wołyniu organy radzieckiego wywiadu i kontrwywiadu zdołały pozostawić na terenie okupowanym swoich emisariuszy i co ciekawsze niektórzy z nich przetrzymali działając cały okres okupacji. Jednym z przykładów jest nasz sąsiad z drugiej strony ulicy. Człowiek ten, jak pamiętam, był strażnikiem na kolei. W czasie tak zwanego bezkrólewia chyba demonstracyjnie chodził pod domem po ulicy, jak gdyby dając do zrozumienia, że władzy radzieckiej ma dość. Dziwiliśmy się temu, że on jako człowiek radziecki pracujący przeciw w „aparacie” nie ewakuował się. Po ustaleniu się władz niemiecko-ukraińskich pracował w tej samej dziedzinie formalnie na korzyść okupanta. W czasie swej pracy w stosunku do sąsiadów zachowywał się zupełnie przyzwoicie, chociaż rezerwa była z obydwu stron.

W czasie ewakuacji hitlerowców zastanawiano się, czemu on nie ucieka z Niemcami. Bowiemy wiadomo było, że ze zdrajcami władze radzieckie rozliczały się bezpardonowo. Oczywiście stały się okrągłe, kiedy zobaczyliśmy jego w pierwszych dniach wyzwolenia w mundurze oficerskim radzieckich władz bezpieczeństwa.

Pierwszym poważniejszym cieniem był stosunek Niemców do Żydów. Na ogół Polacy, Ukraińcy, Rosjanie i Żydzi żyli w niezłej symbiozie. Wprawdzie trochę podśmiewaliśmy się z Żydów, jak Rosjanie kazali mówić nie Żyd tylko Iwrej. Ukuliśmy nawet powiedzenie na ten temat brzmiące następująco: „Iwrej zdochnit skarej a Żyd dołogo żyj”. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z poniżeniem czy lekceważeniem Żydów, ponieważ na Wołyniu było za dużo narodowości, żeby się nienawidzić. Nie myślę tu o odosobnionych wypadkach, gdyż takie zawsze się zdarzają.

Najpierw wykorzystywano Żydów bez różnicy płci do najróżnorodniejszych posług i prac, które wykonywano na rzecz przemieszczających się sztabów i wojsk hitlerowskich. Sposób zbierania ludności żydowskiej do prac był niejednokrotnie bardzo brutalny. Nie wważano na nic, wystarczyło, że ktoś był Żydem czy Żydówką, musiał wykonywać każdą pracę, o której nie miał najmniejszego pojęcia lub predyspozycji fizycznych. Jak się okazało, nie było to jeszcze najgorsze, było to dopiero wstępne strojenie instrumentów do mającej grać długi czas niesłychanie zbrodniczej uwertury. Trzeba stwierdzić, że partytura hitlerowska rozpisana była w niesłychanie perfidny i wyrachowany sposób. Niedługo trzeba było czekać, miesiąc może dwa. Pamiętam jak dziś. Z rana padał deszcz, stały gdzieś na chodnikach kałuże deszczowej wody. Około południa zobaczyłem na mojej ulicy patrol niemiecki. Po niedługim czasie siedząc przy oknie zobaczyłem jak prowadzili mężczyznę, Żyda, znanego mi z widzenia. W chwilę po tym wyszedłem na dwór zobaczyć się z kolegami i pogadać, co to ma znaczyć, ponieważ cała sprawa z prowadzeniem Żydów wydawała się nietypowa. Z początku z kolegami niczego nie mogliśmy wydedukować. Dlatego też kilku z nas udało się na „spacer”, żeby z bliska obejrzeć rejon kwaterowania żandarmerii. Zorientowaliśmy się tam, że jeszcze ludzi doprowadzają. Po obiedzie miasto obiegła lotem błyskawicy straszliwa wiadomość... ponad stu ludzi rozstrzelano – głównie Żydów, też kilkunastu Polaków. Okazało się potem, że w tych patrolach niemieckich byli Ukraińcy ubrani w niemieckie mundury. W tej akcji pacyfikacyjnej min. zamordowany został nasz dobry znajomy Ro-

man Ryszków, lat około 23. Według relacji jego rodziny zabrał go z domu znany nam wszystkim ukraiński policjant, niejaki Lejko, który obecnie prawdopodobnie mieszka w Lublinie. Miejsce rozstrzelania i bratnia mogiła znajduje się w pobliżu torów kolejowych Zdołbunów – Lwów na tak zwanych glinkach.

Jeszcze przed formalnym wkroczeniem Niemców do Zdołbunowa, miejscowi Ukraińcy zorganizowali prawdopodobnie w powiązaniu z lwowskim ośrodkiem nacjonalistycznym, któremu później przewodził sławny Stepan Bandera, ośrodek władzy administracyjnej. Pamiętam, że czytałem rozlepioną przez nich odezwę nawołującą do zachowania spokoju i podporządkowania się władzom niemieckim. Odezwa drukowana była w naszym mieście, była o tym mowa w domu ze znajomym drukarzem, który przebywał u nas. Działania wojenne zastały go w Zdołbunowie, został praktycznie bez środków do życia, trochę żywił się przy nas. Delikatna, jak na owe czasy, dyskryminacja Polaków zaczęła się dość szybko. W mieście mieliśmy, jak na nasze miejscowe warunki, niezłą drużynę piłki nożnej, zorganizowaną przy cementowni. W pierwszym okresie pobytu Niemców, nasza drużyna rozgrywała z nimi mecze piłki nożnej bez żadnych przeszkód. Ja z kolegami zawsze na tych meczach byłem obecny. Pewnego razu mecz rozpoczął się normalnie i po jakimś czasie został przerwany na interwencję nauczyciela z mojej szkoły (przed 1939 zgrywał pobożnego Polaka i katolika). Jak się okazało potem, był zajadłym polakożercą i wielkim działaczem OUN. Był to pierwszy sygnał, że z nami zaczyna być coś nie tak. Warto odnotować, że u tego nauczyciela w domu na drugi dzień wyleciały z okien szyby. W każdym razie z chłopakami mego pokroju to on długi czas nie miał łatwego życia. Często zdarzało mu się to i owo, o szczegółach nie wypada mówić, bo były to cholerne psie figle, jakie tylko mogą takie 12-14-latki wymyślić. Zaczęto niektórych Polaków nocą wybierać z domów i znikali oni bezpowrotnie. Czuliśmy, że miejscowi promineneci ukraińscy, współpracujący z Niemcami, rozpoczęli wybiórczą akcję zmierzającą do wyeliminowania potencjalnych przywódców przyszłej samoobrony Polaków. Na szczęście w odniesieniu do tych ludzi akcja im nie wyszła. To nie znaczy, że można umniejszać ich zbrodnie w stosunku do nas w pierwszym okresie okupacji niemieckiej.

Temat nacjonalizmu ukraińskiego głębiej rozwinę być może w osobnym aneksie do wspomnień, jednak na wszelki wypadek skrótkowo wyjaśnię o co im chodziło i jaki mieli główny cel. Generalnie chodziło o to, że określona część społeczeństwa ukraińskiego miała aspiracje do stworzenia własnego państwa typu burżuazyjno-faszystowskiego. Władze hitlerowskie mamili ich utworzeniem Samoistnej Ukrainy pod berłem hitlerowców. W tej sytuacji hitlerowcy perfidnie wykorzystali zbliznione dawne i niedawne animozje polsko-ukraińskie, wskutek czego, łatwo było spowodować wzajemne wyrznanie się. Piszę świadomie wyrznanie, ponieważ w późniejszym okresie Polacy czasem brali odwet. Generalnie, Niemcom ten stan rzeczy był na rękę, ponieważ przy konflikcie polsko-ukraińskim na terenie Wołynia mieli spokój przez dłuższy czas, w odniesieniu do linii komunikacyjnych do frontowych, których sporo przebiegało przez nasze tereny. Bowiem w przypadku powstania masowego ruchu oporu o cechach międzynarodowych a można przypuszczać, że w taki układ mogliby się dołączyć Czesi, Rosjanie i częściowo Żydzi. Hitlerowcy praktycznie linie komunikacyjne na front wschodni mieliby z głowy, a chcąc je utrzymać musieliby zaangażować potężne siły do ich ochrony. Trzeba powiedzieć, kawał czasu wygrali, dopóki ich planów nie pokrzyżowały radzieckie zgrupowania partyzanckie. W tym miejscu należy podkreślić, że ruch nacjonalistyczny na Radzieckiej Ukrainie nie rozwinął się, chociaż takie usiłowania były czynione.

Czas wracać do swoich spraw. W międzyczasie front przesunął się daleko na wschód. Matka z siostrą (mialem ich trzy i nielekki żywot z tego powodu, goniły mnie często, a ja się nie dawałem) wróciły do domu. Życie domowe zaczęło nabierać normalnego rytmu. Przez pewien czas nie działo się nic wokół mnie godnego uwagi. Ojciec dostał się do pracy na kolei. Było to o tyle korzystne, że dawało 100% gwarancji, że nie wywiozą go do Niemiec na roboty. W tym czasie dostaliśmy mieszkanie w budynku kolejowym. Warunki były o tyle znośniejsze, że w domu była woda z kranu, a to było dużo. Ojciec jak zwykle od czasu do czasu awanturował się z matką. Przykro o tym pisać, ale był to skrajny choleryk, który musiał zawsze mieć rację. Mnie z siostrą trzymał krótko, po kawaleryjsku, uzda przy samym pysku, a łeb wysoko bez możliwości ruchów głową. Tak lapidarnie można określić moją sytuację domową. Praca ojca dawała nam względną stabilizację, jeśli o takiej w tych warunkach można mówić. Trudności przeżywaliśmy takie same jak wszyscy ludzie w mieście. Różniły się znacznie one od warunków, jakie istniały w strefie okupacyjnej na zachód od Bugu. Uwypuklę tylko te elementy, które moim zdaniem układały się na niekorzyść Wołynia.

Pociągi pasażerskie u nas nie kursowały, jeżeli ktoś chciał jechać do Kowla musiał uzyskać zezwolenie w administracji niemieckiej na podróż w kierunku zachodnim w pustych wagonach towarowych jadących z frontu. Gorzej było dostać się z powrotem na wschód, ponieważ z reguły niemieccy konduktorzy nie chcieli nawet zabierać do budek konduktorskich tak zwanych breków. Na jazdę w porze letniej na dwóch przednich wagonach z piaskiem lub z kamieniami, które pchane były przed lokomotywą nie każdy się odważył, z uwagi na to, że te wagony przeznaczone były na wysadzenie w wypadku najechnania na minę, ustawioną na nacisk. Potem, kiedy partyzanci zastosowali zapalniki

naciągowe uzależniające wybuch miny od szarpnięcia sznurka lub specjalnej linki, ta metoda podróżowania była dużo niebezpieczniejsza, chociaż niejednokrotnie przez nas stosowana. Mieliśmy nosa, wiedzieliśmy, które transporty mogą być w orbicie zainteresowania partyzanckiej dywersji. Zasadą była w takich przypadkach jazda w dzień, ze względu na widoczność, jak i na godzinę policyjną. Na podstawowe artykuły żywnościowe wydawane były kartki. Tyle, że racje były wybitnie głodowe nie zabezpieczające elementarnych potrzeb życiowych, sól na przykład była rarytasem ponieważ, kto miał sól, ten miał najlepszą walutę wymienną, szczególnie na żywność. Cukier był w sferze marzeń. Problem słodzenia rozwiązywało się tak. Kto miał możliwości, mógł trochę cukru wyspekulować z pobliskich cukrowni lub też kombinowało się melasę (odpady z produkcji cukru) i tym się słodziło. Kolejna możliwość to była kradzież buraków cukrowych z pobliskich pól, oczywiście w odpowiednim okresie tj. w czasie, kiedy były wykopane i spryzmowane czekały na wywózkę w ramach kontyngentów. W tego rodzaju wyprawach brałem często udział z moim kolegą Wackiem Olczakiem. Następnym sposobem, była szansa kupowania sacharyny od kolejarzy jeżdżących za Bug lub od ich pośredników. Po śmierci ojca i ja się takim procederem okresowo zajmowałem. Mydła też nie otrzymywaliśmy z przydziału. Do prania matka robiła sposobem znanym starszemu pokoleniu ług z popiołu. Resztę potrzeb w tym zakresie można było uzupełnić poprzez własną produkcję mydła, pod warunkiem, że jakkolwiek drogą dostało się od kolejarzy lub pośredników sodę kaustyczną i kalafonię, na miejscu organizowało się jakkolwiek tłuszcz. Są to tylko niektóre sprawy, które należało pokonać, by jakoś żyć. Te zabiegi dotyczyły biedniejszej ludności miasta. Bogatsi, a byli tacy, nie mieli tych kłopotów, bo mieli pieniądze i inne walory wymienialne.

Za Bugiem w Generalnej Guberni, pomimo olbrzymiego terroru, istniała jakaś namiastka przestrzegania niektórych zasad prawnych przez Niemców. Na Wołyniu nawet tej namiastki nie było. Tam rozstrzeliwania lub inne akty terroru czymś Niemcy legalizowali, bodaj prawem odwetu. Na Wołyniu Niemcy w takie subtelności nie bawili się. Do nas strzelano, wieszano i popełniano inne zbrodnie według widzimisię każdego dosłownie Niemca poczynając od szeregowca Wehrmachtu. Przy tym należy stwierdzić, że ludność ukraińska była trochę chroniona. Na Polakach dodatkowo wyżywali się policjanci ukraińscy i ich poplecznicy. Jednak na uwagę zasługuje fakt, że pewna część społeczeństwa ukraińskiego nie ulegała nacjonalistyczno-banderowskiej propagandzie. O tyle łatwiej było nam żyć w miastach, natomiast na wsiach rzecz wyglądała zupełnie inaczej, gorzej.

Ojciec jaki był taki był, ale o dom dbał na miarę swoich możliwości. Zginął tragicznie, chyba dość przypadkowo. Stało się to podczas przetoków wagonów przy górcie rozrządowej. Został potrącony przez parowóz, złapało go za długi płaszcz, obcięło dwie nogi w rejonie kostek, rzuciło nim kilka razy. Musiał uderzyć o jakieś słupy, czaszka pękła – koniec na miejscu. W tej sytuacji bieda jeszcze gorsza zaczęła zaglądać do domu wszystkimi szparami. Matka chodziła na posługi. Starsza o dwa lata siostra chorowała na przewlekły reumatyzm i na jej pomoc w utrzymaniu domu w żadnej mierze liczyć nie można było. Pozostałem ja i matka.

Zacząłem przemyśliwać, za co się złapać, co robić, żeby jakoś przeżyć. Dopomogli mi w tym koledzy, którzy już wcześniej znaleźli zajęcie. Takim zajęciem, dość opłacalnym była robota czyścibuta. Żeby dostać się do klanu czyścibutów, należało wyrobić sobie odpowiednie chody i właściwą opinię, oczywiście w specyficzny sposób rozumianą. Było nie do pomyślenia wejść na teren pracy bez właściwych temu środowisku uzgodnień. Ja szczęśliwie z tym problemem nie miałem większych kłopotów. Mając przyzwolenie środowiska jeszcze musiałem u jakiegoś urzędnika na dworcu załatwić pozwolenie formalne w postaci otrzymania tabliczki znamionowej, że jestem czyścibutem i mam pobierać opłatę zgodnie z ceną wypisaną na tabliczce z lewej strony. Taką tabliczkę każdy z nas miał obowiązek mieć zawieszoną na szyi w czasie pracy. Czyszcząc buty przejeżdżającym transportami Niemcom lewą stronę tabliczki chowaliśmy pod rozpiętą koszulę czy inne wdzianko, po to głównie, żeby ukryć cenę usługi. Robiliśmy tak dlatego, że żołnierze i oficerowie niemieccy dawali nam za czyszczenie butów trochę więcej ponad przewidzianą taryfę urzędową. Zarobek był stosunkowo niezły, a zdarzało się, że niektórzy Niemcy dawali czasem jakiegoś ochłapa żywnościowego. Zdarzało się też, że nieraz można było dostać smakowitej zupy z kotła wojskowego. Czasem dostało się i kopniaka w tyłek, ale w sumie można było wytrzymać. Najważniejsze, że na bieżąco był skromny pieniądz. Byłem szczególnie zadowolony jeśli od czasu do czasu płacono nam bilonem (fenigami) reichsmarek. Była to waluta obowiązująca w Rzeszy i miała dużo większą wartość od waluty okupacyjnej tak zwanych karbowanów. Miewaliśmy kłopoty z pastą do butów, ale handlarze sprowadzali znanymi sobie drogami zza Bugu tak zwaną sadzę angielską, z której, po wymieszaniu z tłuszczem i woskiem, wychodziła zupełnie dobra pasta. Szczotki robiliśmy sami z końskiego włosia. Szczególnie dobry fart mieliśmy latem i jesienią 42 roku, kiedy armie niemieckie niepowstrzymanie parły na południowe tereny Związku Radzieckiego w kierunku Kaukazu i Stalingradu. Stosunek żołnierzy Wehrmachtu do nas był w tym czasie dość dobry, chyba dlatego, że stan euforii zwycięstwa robił ich łagodniejszymi. Nie wykluczało to, że od czasu do czasu któryś z nas dostał po łbie, ale tym się nie przejmowaliśmy, byliśmy do tego przyzwyczajeni, skóra na pas już była gruba. Uważaliśmy tego typu zagrania niektórych Niemców za nieodłączne ryzyko naszej

roboty. Mniej więcej w tym czasie nauczyłem się palić papierosy, ponieważ czasem płacono nam papierosami. Była to dobra waluta, dawała możliwość wymiany ich na żywność.

W pewnym okresie lata czterdziestego trzeciego roku, zaczęli w naszym mieście stacjonować Madziarzy. Swoje miejsce postoju mieli między innymi w przedwojennym gimnazjum. Mieściło się ono po stronie dzielnicy kolejowej nieopodal naszego mieszkania. Tam mieliśmy bardzo dobrą pracę, jako że stosunek Węgrów do nas był naprawdę przyjazny, niemalże opiekuńczy. Dotyczyło to nie tylko nas, czyszczących im buty, taki stosunek mieli do wszystkich Polaków. Wyświetlano nawet dla polskiego społeczeństwa filmy i co ważniejsze ogłoszenia o filmach z początku pisane były w języku polskim. Nas to bardzo budowało. Ten przyjazny gest był nam potrzebny, tym bardziej, jeśli weźmie się pod uwagę, że Polacy na Wołyniu, przez Niemców i Ukraińców byli wyraźnie dyskryminowani. Ogłoszenia o filmach w języku polskim nie trwały długo, ale miały swoją niedwuznaczną wymowę. Wynikało z tego jasno, po czyjej stronie są Węgrzy. Czyszczenie butów pomagało utrzymać dom, ale wszystkiego nie załatwiała. Toteż nieraz w domu było krucho.

Po jakimś czasie, po śmierci ojca, przenieśliśmy się do mieszkania po drugiej stronie miasta na ulicę o przedwojennej nazwie 3 Maja. Z nowego miejsca zamieszkania miałem dalej do czyszczenia butów, w związku z tym zacząłem szukać innych możliwości zarobkowania. Był to czas, kiedy z terenów Związku Radzieckiego dużo ludzi wywożono na przymusowe roboty do Niemiec. Chodziliśmy z matką po okolicznych wsiach (dopóki fala mordów nie doszła w nasze okolice), kupowaliśmy tam jabłka, które potem sprzedawałem ludziom z transportów jadących do Niemiec na roboty.

W tym czasie odświeżyłem znajomość z Krzeszowcami. Znajomość z tą rodziną datowała się sprzed 1939 roku, kiedy to moje starsze siostry z pierwszego małżeństwa matki, okresowo pracowały jako służące po domach kolejarskich. Za władzy radzieckiej i podczas okupacji wiodło się im cieniutko, ponieważ ich ojciec, przedwojenny urzędnik kolejowy, mając obawy co do wywózki go na Sybir, zdecydował się na nielegalne przekroczenie granicy niemiecko-radzieckiej na Bugu. Został zatrzymany przez władze radzieckie i znalazł się na Syberii. Żona jego, a matka moich aktualnych kolegów znalazła się w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Kiedy jeszcze mój ojciec żył, z węglem nie było u nas źle, to czasem ukradkiem zanosilem im trochę węgla. W tym czasie mieszkali jeszcze blisko nas, na dzielnicy kolejowej przy ul. Sadowej. W nieco późniejszym czasie, ale przed nami, przeprowadzili się i mieszkali nieopodal parku tuż u wylotu na ul. Szewcenki. Ja po przeprowadzce mieszkałem z drugiej strony parku, tak że mieliśmy do siebie niedaleko i dlatego kontakty z nimi przerodziły się w koleżeństwo nieco dojrzsze. Ich klimat domowy był z oczywistych względów inny aniżeli mój. Po prostu byli inni i bardziej nobliwie wychowani, to pozostało im na dalsze lata. Matka moja orientację na nich przyjęła z westchnieniem ulgi, ponieważ moje znajomości według matki na dalszą metę nic dobrego nie wróżyły, ale głośno nic mi nie mówiła bo przecież trochę (i chyba znacząco) pomagałem matce w utrzymaniu domu, stąd też wzięła się moja specyficzna samodzielność. A wracając do Krzeszowców, dzięki ich wpływowi zostałem ministrantem, co było w mieście nie bez znaczenia. Mieli sporo książek, z których pewną ilość przeczytałem, a czytać od dość dawna już lubiłem. Wówczas po raz pierwszy przeczytałem całą Trylogię Sienkiewicza. Wzięło mnie bez reszty do dzisiaj i myślę, że do ostatnich moich dni, jakie mi są dane przeżyć. Czytałem wtedy co popadło, ale Sienkiewicz zrobił na mnie kolosalne wrażenie, szczególnie „Ogniem i mieczem”. Przecież od Zbaraża mieszkałem niezbyt daleko. Opiswane krajobrazy otaczające moją okolicę bliższą i dalszą dopasował autor do rozgrywających się akcji bezbłędnie i w sposób niesłychanie sugestywny. Widziałem w tej książce moje rodzinne strony łącznie ze specyficznym, jedynym w swoim rodzaju, zapachem naturalnych łągów. Kojarzyły mi się one z zapachem dzikich pól. Nie mówiąc już o końcowym stwierdzeniu Sienkiewicza w Trylogii „Ku pokrzepieniu serc”. Ta puenta była tak celna, że nie sposób tego wyrazić. Bo to niesamowicie budujące.

Handlując doraźnie jabłkami pewnego razu udało mi się na lewo ze znajomym konduktorem wyskoczyć do Kowla, do mojej najstarszej siostry mężatki. Przebywałem u niej dość długo, tj. około dwóch miesięcy. W tym czasie w Kowlu Niemcy zorganizowali getta dla ludności żydowskiej. Sporo znajomych siostrze Żydów znalazło się w getcie. Dla ścisłości trzeba dodać, że w Kowlu były dwa getta. Jedno było w ogóle odizolowane. Drugie nie miało tych warunków, ponieważ mieszkańcy usytuowani na zachodniej stronie miasta musieli przechodzić przez getto, chcąc dostać się do śródmieścia. Siostra mieszkała właśnie w takim układzie. Getto było chronione przez policję ukraińską. Ochrona nie była zbyt ścisła. Siostrze w tym czasie nie było źle, ponieważ szwagier pracował w rzeźni, no to sprawa jasna, żarcia było pod dostatkiem. Prawie codziennie chodziliśmy dozwolonym przejściem (przez getto) do matki szwagiera i jego brata mieszkających w śródmieściu. Wizyty miały charakter towarzysko-handlowy. Pewnego razu idąc w omawianym kierunku natknęliśmy się na znajomego szwagrowi Żyda. Nie zatrzymując się, wysłuchaliśmy jego prośby o pomoc w żywności. W tym momencie, jak na złość, nie mieliśmy przy sobie ani kawałka chabaniny. Decyzja była szybka, szwagier powiedział mu, żeby jutro ktoś czekał o określonej godzinie (pamiętam, że było to do południa) i że ktoś z nas przyniesie jego rodzinie coś do jedzenia. Nazajutrz, o umówionej godzinie siostra wyekspediowała mnie z wałówką w teczce, przesyłkę przekazałem bezkolizyjnie. Podobało mi się, ponieważ było w tym trochę ryzyka. Skutki mogły być

opłakane, ale mnie to imponowało. Po pierwszym, a udanym przerwaniu żywności do getta, powtarzałem tę czynność wielokrotnie aż do chwili masowego mordowania pierwszego getta w Kowlu.

Z gettem wiąże się jeszcze jedna moja szczeniacka przygoda. Po usunięciu i wymordowaniu Żydów z tego getta w tym samym dniu odbiła mi szajba. Namówiłem sąsiada – takiego samego urwipolcia jak ja. Chodziło o spenetrowanie niektórych domów w getcie w poszukiwaniu wymyślnego złota. Jak postanowiono, tak zrobiono. Wymknęliśmy się cichaczem do opuszczonego getta i zaczęliśmy bobrować w pozostawionych betach. Zaaferowani poszukiwaniami nie obejrzeliśmy się, jak stał przy nas policjant ukraiński. Wziął nas za kuper i zaczął holować do głównej ulicy. Nic mu z tego nie wyszło, bo rozprysnęliśmy się jak stadko wypłoszonych wróbli (wypłoszeni to myśmy byli nieźle). Znajomymi zakamarkami bez większych przeszkód dotarliśmy do domu, oczywiście każdy osobno. W godzinach poobiednich wyszedłem do miasta zobaczyć, co słychać. No i zobaczyłem! Kilka latarni było udekorowanych wisielcami, mieli oni na piersiach zawieszone tabliczki z napisem „rabowałem w getcie”. Na własne refleksje nie musiałem długo czekać, pietra miałem nielichego, ale skończyło się dobrze. Do dziś nie wiem, czy gdybyśmy nie zdołali uciec, nas też kilkunastolatków, powiesiliby? W każdym razie, już po udanej ucieczce spod szubienicy – rozmyślenia na ten temat można bez przeszkód prowadzić. Gdybyśmy nie zwiali – może nie pisałbym tych wspomnień, a moje dzieci i wnuki nie wiedziałyby, że ich dzisiaj dobrze ułożony dziadek miał pusto we łbie, bo niepotrzebnie się narażał na niepotrzebne nikomu ryzyko. Być może od tej pory zaczął się mój życiowy fart, bo jeszcze kilka razy uciekłem grabarzowi spod łopaty.

Po tych młodzieńczych przejściach, a chyba i wygłupach, wybrałem się do Zdobunowa. W Kowlu zrozumiałem, że przy odrobinie szczęścia mogę stosunkowo nieźle zarobić. Rzecz polegała na tym, aby przyjechać do Kowla. Zatrzymać się było gdzie i dokonać odpowiednich zakupów od kolejarzy przyjeżdżających z Chełma. Przywieźć towar do Zdobunowa i z odpowiednim zyskiem sprzedać. Z Kowla przywoziło się takie artykuły jak sacharynę, igły, nici, sodę kaustyczną i kalafonię oraz inne drobizgi, których na Wołyniu w zasadzie nie było. Sprawa trochę ryzykowna, ale frapująca czymś nieznanym a co najważniejsze opłacalna. Po powrocie do domu uzbieraliśmy z matką trochę pieniędzy, by mieć za co kupić towar w Kowlu. Teraz tylko czekałem na przyjazd z Kowla znajomego konduktora. W niedługim czasie zamiar był sfinalizowany i to z niezłym zarobkiem. Powtarzałem ten manewr kilkanaście razy. W czasie tych eskapad nieźle oswoiłem się z tą trasą, poznałem ludzi podobnych do mnie. W miarę możliwości pomagaliśmy sobie nawzajem. Ważyłem się też korzystać nie tylko z prawie bezpiecznej jazdy przy pomocy polskich konduktorów, odbywałem przejazdy po towar na dwóch przednich wagonach-lorach. Były one załadowane piaskiem lub kamieniami. Przeznaczeniem ich było, jak to już wcześniej wspominałem, zdetonowanie miny typu naciskowego. Celem tego asekuracyjnego zabiegu miało być oszczędzenie parowozu i transportu. Na tych wagonach Niemcy pozwalali nam jeździć. Nie bardzo wypada o tym mówić, ale jazda w tych warunkach nobilitowała jeżdżących w oczach wszystkich, którzy to widzieli bezpośrednio lub o tym wiedzieli. Uznanie w oczach kolegów oraz starszych mieszkańców bardzo mi dogadzało – byłem z tego bardzo dumny.

Omawiane, jak na mnie, poważne wysiłki, na rzecz utrzymania domu nie przeszkadzały w normalnych zabawach właściwych memu wiekowi. Młodość ma swoje prawa i to chyba dobrze, bo – według mnie – moje pokolenie nie ma szczególnych urazów, tyle że obrazy tamtych czasów i młodzięcze przeżycia zapisane są w pamięci dość mocno.

I tak grałem w piłkę nożną na podmiejskich łąkach (bardzo ważne), mieszcząc się w najlepszej drużynie miejskiej szmacianki, grałem w bramce i uważałem to za swoiste wyróżnienie. Grając w piłkę korzystaliśmy często z miejskiego boiska. Były i łobuzerstwa. Przywiązywaliśmy portmonetkę czy inny przedmiot na grubszej nici i schowani w pobliżu czekaliśmy na frajera. Frajda była nielicha, jak przygodny przechodeń, zobaczywszy leżący przedmiot, schylając się, chciał go podnieść, a „toto” mu uciekało. Jednak i nadziewaliśmy się na lepszych od nas, bo taki cwaniak udawał, że nic nie widzi, stawał nogą z właściwej strony i ukrywał leżący przedmiot. Pociecha była w tym, że tacy zdarzali się rzadko i to w zasadzie nie psuło nam zabawy.

Czasem podobną metodę stosowaliśmy nieco inaczej. Braliśmy odpowiednio długą nitkę lnianą, na jednym końcu nitki wiązało się agrafkę nieco niżej jakiś dłuższy ciężarek, agrafkę wbijało się w ramę okienną, rozciągało się sznurek (nitkę) i niewidoczny (pociągany lekko) ciężarek uderzał w szybę, niepokojąc domownika. Radocha była pełna wtedy, kiedy domownik zaczynał nie na żarty wrzeszczeć ze strachu, a bać się u nas było czego. W miarę oswojenia się z tą metodą dokuczaliśmy w ten sposób niemieckim kolejarzom zakwaterowanym u ludzi w mieście. Sytuacje przeważnie były przekomiczne, ale czasem trzeba było wiać przed Niemcami, którzy z prawem użycia broni nie mieli żadnych zahamowań. Szczerze mówiąc w tej sytuacji wcale im się nie dziwiłem, przecież to oni czuli się panami a tu ktoś śmiał „nadrudzi” niepokoić. Okazuje się, że to nie było takie trudne. Muszę koniecznie nadmienić, że we wszystkich jak to się wtedy mówiło „drakach” brał udział mój serdeczny kolega nieodżałowany, nieżyjący już Wacek Olczak. Usiłowaliśmy z nim też sprzedawać oszukiwane nici ludziom ze wsi. Brało się szpulkę nici i szpulkę pustą, na którą nakładało się dokładnie odpowiedni zwój papieru (musiał

ściśle przylegać), na to dopiero nawijaliśmy maszynowo około połowę nici i tak spreparowane szły do sprzedaży. Raz pamiętam z takimi niemi nadzialiśmy się na przytomnego chłopca, no i trzeba było brać nogi za pas. W późniejszym czasie wykręcaliśmy Niemcom lepsze numery, ale o tym dalej.

Była to jedna strona medalu. Druga wyglądała – powiedziałbym – nobliwie. Wyglądałem na zupełnie dobrze ułożonego chłopca. Ministrantem byłem w dalszym ciągu. Co niedzielę służyłem do mszy św. i w tym czasie zakochałem się pierwszą dziecięcą-młodzieńczą miłością. Przedmiotem moich uwielbień była Basia Luciów. Poznałem ją dzięki jej bratu Andrzejowi, również ministrantowi. Cudo moje najczęściej widywałem na mszy. Miała zwyczaj zajmowania miejsca po lewej stronie. Żeby ją dyskretnie widzieć w czasie nabożeństwa ustawiałem się z prawej strony ołtarza i od czasu do czasu zerkalem w jej stronę. W końcu Basia domyśliła się moich (szczeniackich) uczuć. Z pomocą Andrzeja ileś tam razy doszło do bezpośredniego widzenia się w obecności Andrzeja i Krzeszowców – Mietka i Kazika. Do domu do nich nie chodziłem, byli to ludzie zamożni i dla mnie niebogi były za wysokie progi. Sprawa skończyła się po jakimś czasie, ponieważ zaczął z nią sympatyzować chłopiec z tak zwanego lepszego domu, niejaki Dyzio, no i ona skierowała swoje oczy w jego kierunku. Rzec skończyłem honorowo, bośmy się z Dyziem pobili po mszy i dałem mu pole do działania, chociaż wzdychałem do niej w dalszym ciągu, a pamięć o niej jest mi zawsze bardzo miła.

Ksiądz prałat Siennicki być może domyślał się mego podwójnego życia, ale nigdy nic mi na ten temat nie wspomniał. Twierdzę tak dlatego, że posłużył się mną, a nie kim innym, w kilku sprawach będących na pograniczu konspiracji. Chodziło o to, że kiedy zaczęły się masowe mordy Polaków, bardzo wielu ludzi emigrowało ze wsi do miast i miasteczek Wołynia, gdyż tylko w tych warunkach istniała szansa przeżycia. Niektórym udawało się dostać do Generalnej Guberni, gdzie nie było zagrożenia ukraińskiego. W Zdołbunowie takie sprawy m.in. załatwiał nasz proboszcz i kilka razy w tej sprawie posłużył się moją osobą w cząstkowym załatwianiu tej kwestii z kolejarzami. Za odpowiednią opłatą Windowali oni i przewozili ludzi do Polski. Wypracowane były dwie możliwe trasy tj. Zdołbunów – Brody – Lwów i Zdołbunów – Równe – Kowel – Chełm.

Okres wspomnień z lat 1942-43 nie jest uporządkowany chronologicznie, ponieważ te lata splotły mi się w jeden czas. Mając na uwadze, że są to wspomnienia bardzo osobiste, nie przewidywane do publikowania, ten mankament nie jest zbyt istotny. 1943 rok i późniejsze lata były okresem bierności i czynnej walki o przetrwanie narodowe. Piszę o tragedii Polaków tak, jak ją zapamiętałem. Dochodziły do nas słuchy, że gdzieś zdarzają się wypadki mordowania ludności polskiej na wsiach. Polacy byli rozproszeni po całym Wołyniu. Zdarzały się wsie mieszane i były też typowo polskie, te wsie rozlokowane były bardziej na zachód od Zdołbunowa a nawet na zachód od Łucka, generalnie biorąc bliżej Kowla. Tam też powstawały dość mocne samoobrony wiejskie, nieraz grupujące kilkanaście tysięcy ludzi. Na wsiach mieszanych przed wojną polsko-niemiecką Polacy i Ukraińcy żyli ze sobą w zgodzie. Chodzili w kumy do siebie, czcili jednakowo święta katolickie i prawosławne. Zawierane były mieszane małżeństwa. Wydawało się zwykłym ludziom, że jest to naturalna symbioza ludzka wspomagająca w trudzie utrzymania się na powierzchni życia. Nie biorę tu pod uwagę właścicieli majątków, znanych polskich rodów, chociaż i tam zgodnie pracowali Polacy i Ukraińcy jednakowo gnębieni przez obszarników i nie jest winą Polaków (całej masy biedoty), że obszarnikami byli przeważnie Polacy przez duże „P”.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że policja ukraińska na wszystkich znanych nam posterunkach uciekła w lasy. Jeszcześmy wtedy perfidii niemieckiej nie odczytali. Ponieważ według oficjalnych głosów niemieckich, mieli to rzekomo zrobić bez wiedzy Niemców. Wielu Polaków odczytało to dla siebie jako poważne zagrożenie. Ze względu na to nie odmówili Niemcom udziału w zorganizowaniu polskiej policji, działającej u boku Niemców. Ponieważ głównym motywem potwierdzanym przez Niemców była sprawa ochrony ludności polskiej przed nacjonalizmem ukraińskim, ba, uważano ten krok ze strony młodych Polaków za swego rodzaju przejaw patriotyzmu. Oczywiście jest, że w podtekście tej sprawy tkwiła możliwość odwetu za popełnione mordy na ludności polskiej. Niemcy z oczywistych względów temu nie przeczyli, bo taka była ich polityka, by zwaśnić do końca Polaków z Ukraińcami.

Przejdę na chwilę do tego, jak ja i moi koledzy odbieraliśmy tę sytuację w mieście. Może jest niezrozumiałe to, co napiszę, ale tak naprawdę było. Chociaż widmo śmierci już krążyło dookoła.

W tym czasie w mieście stacjonowała większa jednostka wojskowa Węgrów. W miejskim parku węgierska orkiestra dęta dawała co parę dni koncerty. Sporo ludzi na te koncerty przychodziło. Najwięcej oczywiście młodzieży. Procentowo chyba najwięcej było Polaków, ponieważ sympatie polsko-węgierskie głównie były demonstrowane przez polską pleć piękną naszego miasteczka. Uwierzcie mi kochani, że to naprawdę był marginalny element dobrych stosunków z Węgrami. Istotne jest to, że Węgrzy nie nawiązywali żadnych towarzyskich stosunków z ludnością ukraińską, jej przedstawicielami obojga płci. Chcę oddać taki klimat, jaki wówczas na Wołyniu i w naszym miasteczku istniał. Taka była autentyczna sytuacja, wytworzona myślę nie z tego powodu, że Polacy zagrażali istnieniu narodowemu Ukraińców.

Pewnego dnia byliśmy właśnie całą ferajną zdołbunowską na takim koncercie. W pewnym momencie chłopak, Ukrainiec, też trochę cwaniak, ukłuł mnie szpilką w tyłek tak, że aż podskoczyłem na miejscu. Stało się to na początku koncertu. Koncert trwał około półtorej godziny. Z uwagi na obowiązujący w tym czasie porządek i spokój, powiedziałem mu tylko, że po imprezie rozliczymy się. W międzyczasie koledzy postanowili wykorzystać ten pretekst do większej draki. Koncepcja była nie bezpodstawna, bo przecież chłopcy ukraińscy w czasie mego pojedynku mogli stanąć w obronie swego. Zanim godziwa rozrywka się skończyła, to około 50 wyrostków mego pokroju już czekało na okazję. Ten chłopak zorientowawszy się, że jego kumpli nie ma, oddał się pod opiekę będącego tam ukraińskiego nauczyciela, skądinąd bardzo cichego i spokojnego człowieka. Myślę, że m.in. dlatego nasz wybrzyk przeszedł niezauważenie dla władz w mieście. W każdym razie po koncercie, po zasadniczym rozejściu się ludzi, ja go nawet nie dotknąłem. Zrobili to za mnie kumple, ale nie mocno. Opiekun jego był bezradny. Temu nieszcześnieńnikowi i tak było dość, bo trząsał się jak liście osiki, kiedy zobaczył całą naszą bandę. Opiekun odprowadzał go do domu a myśmy szli za nim w pewnej odległości i coraz któryś z nas podbiegał zadając mu szturchańca. Byłoby być może do tego nie doszło, gdyby nie ogólny klimat napięcia i chowana wewnątrz żądza odwetu. Bo moi chłopcy powiedzieli, że Polaka w mieście ruszyć nie wolno. Może to i dobrze było, że pokazaliśmy swoją zwartość i zdecydowanie. Kto to dzisiaj może wiedzieć. Ważne jest, że później już nikogo z nas nie zaczepiono. Było to dla nas bardzo ważne, czuliśmy w mieście, że jesteśmy górą. Było to nasze małe zwycięstwo. Sprawa do matki się doniosła, ale ta o anielskiej dobroci kobieta nie mogła na to nic poradzić, nawet niezbyt ostro wypominała mi tę sprawę.

Zimę na przełomie roku 1942-43 pamiętam z tego, że o zarobek było coraz trudniej. Bardzo rzadko udawało się skoczyć do Kowla, żeby co nieco zarobić. Na przednich wagonach nie dawało się jeździć, bo było zimno a na przyczepkę w pustych wagonach towarowych też nie można było, bo niemieccy kolejarze gonili nas i tego rodzaju zabawa mogła się skończyć tragicznie, jak to się zdarzyło memu koledze z tych rajdów. Niemiec po prostu zepchnął go w biegu pociągu i chłopak stracił nogę. Dobrze, że stało się to tuż po ruszeniu pociągu i była możliwość udzielenia mu pomocy. W przeciwnym wypadku chłopiec zmarłby z wykrwawienia. Ponadto nastąpiły zaostrzenia w ogóle, a w szczególności w kontroli przejazdów, polscy znajomi konduktorzy też nie mogli nam pomóc. Przyczyną tego stanu rzeczy był intensywny rozwój radzieckiej partyzantki i rozwiniecie działań 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Żyło się biednie i na to nie było rady. Wejście na wsie ukraińskie było już niebezpieczne i niewiele dawało się załatwić na drodze handlu wymiennego, chociaż takie próby ja z moim Wackiem robiłem i czasem co nieco się załatwiło. Żeby załatwić sobie względne bezpieczeństwo na ukraińskich wsiach, ale zawsze niezbyt oddalonych od miasta, należało być odpowiednio przygotowanym. Trzeba było bezbłędnie umieć mówić w języku ukraińskim. Tę umiejętność obydwaj z Wackiem posiadaliśmy w stopniu zupełnie dobrym. Ponadto trzeba było umieć po ukraińsku bezbłędnie i bez zająknięcia „Ojczy nasz” i „Wierzę w Boga”. Tego musieliśmy się nauczyć, przyszło nam to zupełnie łatwo i potem się nieraz przydawało, bo dodawało pewności siebie, a kto wie czy nie było to najważniejsze.

Najczęściej przynosiliśmy ze wsi mleko. Czasem udawało się przynieść trochę kartofli lub pszenicy, czy żyta. Wtedy na chałupniczo skonstruowanych żarnach robiło się ni to mąkę, ni to kaszę. Wówczas wszystko było dobre i nikomu nie przyszło do głowy narzekać, że niesmaczne. Podstawą wymiany towarowej były ceny sprzed 1939 roku – przeliczało się towar i transakcja była załatwiona. Nie obyło się przy tym bez humorystycznych przygód. Pewnego razu tuż pod miastem, było to w drodze powrotnej, chcąc skrócić sobie drogę, postanowiliśmy z Wackiem sforsować niezbyt szeroką rzekę z pomocą pływającej kry lodowej. Zamiar nasz został uwieńczony powodzeniem. Ale na to nawinął się jakiś chłop zdążający do miasta. Przywołał nas z tą krą na jego stronę w celu przewiezienia go na naszą. Zostawiliśmy nasze bagaże na brzegu i ochoczo z pomocą kijów popłynęliśmy na przeciwległy brzeg. Po załadowaniu pasażera odbiliśmy od brzegu. Kra nie wytrzymała takiego obciążenia i pękła. Wszyscy trzej znaleźliśmy się w wodzie a rower chłopca pod wodą. Na szczęście w tym miejscu nie było zbyt głęboko i bez trudu dobrnęliśmy na nasz brzeg. Łyso nam wszystkim było, byliśmy cali mokrzy. Chłop miał dodatkowe zmartwienie jak wydostać rower z wody, ale to było jego zmartwienie, nie nasze. Naszą sprawą było jak najszybciej dostać się do domu i zmienić mokre ubranie. To co pamiętam, to że szparko grzaliśmy do chałupy. Wszystko skończyło się dobrze, bo żaden z nas tej przygody na szczęście nie odchorował, ale chyba dlatego, że dobiliśmy najpierw do mnie i przebraliśmy się w jakieś moje ciuchy, z Wackiem kropnęliśmy ileś tam samogonu i wszystko było dobrze. Gwoli jasności nazwa bimber u nas nie była znana.

Masowe mordy moich bliskich i końcowy okres okupacji

Konflikt polsko-ukraiński dalej się zaostrzał. Żaden z Polaków nie ryzykując utraty życia w niewypowiedzianych męczarniach, nie mógł wychylić nosa poza granice miasta. Napłynęło bardzo dużo uciekinierów z bliższych i dalszych wiosek. Przynosili oni ze sobą straszne opowieści o tej wielkiej tragedii jaka rozgrywała się na naszych ziemiach. Metody mordów były niewypowiedziane bestialskie. Napadano ludzi najczęściej w czasie snu. Na ogół w tych celach broni palnej nie używano. Mordowano nożami, siekierami, kosami i tym podobnymi przedmiotami. Dzieci jak owieczki bezbronnie zarzynano na oczach matek. Wiązano ręce drutem kolczastym i wrzucano niejednokrotnie żywcem do studni, rzek, jezior i bagien. Mordowano w kolejności, kazano patrzeć matkom na mękę i śmierć własnych dzieci lub odwrotnie. To był po prostu niespotykany w dziejach obłęd. Ludobójców opanował jakiś amok niszczenia wszystkiego co polskie.

Zdarzały się jak wspomniałem małżeństwa mieszane. Kazano mężom Ukraińcom mordować własne żony Polki i wówczas pod presją zbrodniarzy pasowano ich na banderowców. Jednym z symptomów nadchodzącego nieszczęścia był moment usypania przez nacjonalistów kopca ziemnego z prawosławnym krzyżem. Według obiegowych opinii, i to jest prawdopodobne, kopiec miał znaczyć, że wszystko co polskie ma być zniszczone i zakopane a nad wszystkim panuje prawosławna Ukraina usymbolizowana ich podwójnym krzyżem.

Pierwszym sygnałem w naszym regionie było wymordowanie Polaków na północ od Równego i Kostopola w osadzie Janowa Dolina. Do dziś eksploatowane są tam kopalnie bazaltu.

Węgrzy duszą i ciałem byli za Polakami. W związku z tym pomagali nam w miarę swoich możliwości. Pomoc i przyjaźń wyrażała się w tym, że kiedy Polacy chcieli pod ochroną Węgrów przenieść się do miasta ze wsi, Węgrzy nigdy takiej pomocy nie odmówili. Spełniali też rolę konwojentów przy sprowadzaniu pomordowanych. Ponadto w sprzyjających sytuacjach można było czasem zaopatrzyć się w węgierską broń, a to było bardzo dużo. Zdarzało się też, że Węgrzy wykonywali na mordercach akcje odwetowe za mord na Polakach. Co dziwniejsze, zewnątrz patrząc na tę sprawę, Węgrzy w tej kwestii musieli mieć dużą swobodę, ponieważ bez bodaj cichej zgody Niemców na tego rodzaju przedsięwzięcia nie byłyby one możliwe.

Pierwszy masowy mord miał miejsce we wsi Tajkury, w której dane mi było przyjść na świat. Wieś oddalona od Zdobunowa 5-6 km, leżąca na uboczu od główniejszych traktów. Pewnego poranka dowiedzieliśmy się, że kilka rodzin Polaków tam mieszkających zostało wymordowanych. Nie oszczędzono nikogo. Zginęli wszyscy tj. od dziecka w kołysce do najstarszego mieszkańca. Spływające wiadomości tej sprawy były wstrząsające. Siekierami rozłupywano głowy i ćwiartowano ludzi jak bydło. Nie mogliśmy pojąć, skąd mogło się wziąć tyle bestialstwa. Szczególnie w tym krwawym dziele wyróżnił się jeden z miejscowych. Wskutek działań polsko-węgierskich, ten zbrodniarz został złapany przez Węgrów i wożony był w klatce po ulicach miasta ze swoim katowskim toporem, który miał przywiązany do rąk. W tej sytuacji resztki Polaków pilnujących jeszcze swoich sadyb, szybko zabrały się do miasta. Okoliczni banderowcy zorientowali się, że Polacy w tym rejonie uciekli im spod noża, spowodowali prowokację we wsi Kopytków. W tej wiosce m.in. mieszkały trzy rodziny moich kuzynów ze strony matki: Kowalacy, Glińscy oraz Kralowie. W kilka dni po wyjeździe ich i innych Polaków do Zdobunowa, banderowcy wywiesili odezwy do Polaków nawołujące do powrotu. Mówiono w nich, że tego rodzaju ekscesy były wielkim nieporozumieniem, że Polacy mogą wracać do swoich domostw, że nie grozi im ze strony Ukraińców żadne niebezpieczeństwo. Niektórzy dali się na tę akcję prowokacyjną nabrać, w tym również ciotka Glińska, jej dorosła córka z mężem i dwoje dzieci nieco młodszych ode mnie. Na szczęście głowa domu, wujek Kowalak i ich najstarsza córka Wikta pozostali u nas. Drugiej czy trzeciej nocy stało się nieszczęście. Wymordowano wszystkich powyżej lat 12, dlatego też moi najmłodsi kuzyni ocaleli. Z ich relacji znamy przebieg tej strasznej nocy. Późną nocą obudził domowników łoskot wyłamywanych drzwi. Banderowcy wdarli się do środka poprzykrywali czy też kazali się przykryć pierzynami. Dorosłych, tj. ciotkę i jej zameżną córkę, położyli na podłodze, po czym do leżących zaczęto strzelać. Należy nadmienić, że młoda mężatka była w ostatnim miesiącu ciąży. Po oddaniu strzałów zaczęto dobijać leżących bagnetami mówiąc przy rym „meh i ja umoczę bagnę w polskiej krwi”. Męża ciotecznej siostry usiłowano zamordować w nieco inny sposób. Morderca odwróciwszy go do siebie tyłem strzelił w kierunku głowy z najbliższej odległości. Na szczęście nie trafił dobrze, pocisk przeszedł rozrywając policzek powodując duże krwawienie, dawało to pozory strzału śmiertelnego. Wychodząc z domu mordercy podpalili domostwo. Cioteczny szwagier, o którym mowa, pomimo krwawienia nie stracił przytomności i wyczołgał się za strefę ognia. To samo zrobiły dzieci. Nie pamiętam, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o tym, co się stało. W każdym razie przy pomocy wojsk węgierskich, chyba w tym samym czasie sprowadziliśmy do Zdobunowa szczątki popalonych ofiar i zorganizowaliśmy im katolicki pogrzeb. Jak wspomniałem wcześniej byłem w tym czasie ministrantem i z tego względu miałem ułatwiony dostęp do naszego kościoła. Kościelny (zakrystianin) wysługiwał się nami przy dzwonieniu dzwonami z wieży świątyni przed nabożeństwami, oczywiście

między sobą rywalizowaliśmy o dostęp do dzwonów. Była to bowiem duża frajda podjeżdżać do góry trzymając się sznura dzwonu. W trakcie pogrzebu moich kuzynów największy dzwon chłopcy oddali w moje ręce. Trudno dziś powiedzieć o natłoku moich myśli przy biciu dzwonami. Na samym odprowadzaniu szczątek pomordowanych ludzi na cmentarz niosłem krzyż i pod tym krzyżem powiedziałem sobie, że jeśli tylko będę miał okazję dopełnię prawa odwetu za tę zbrodnię. Częściowo udało mi się tę moją młodzieńczą przysięgę wypełnić na przełomie lat 1946-47. Z tych dni zapomniałem o jednym, o moim postanowieniu w sprawie odwetu powiedziałem jednej z uratowanych kuzynek Frani Kowalakowej. Przy okazji spotkaniu z nią po trzydziestu siedmiu latach, każde z nas opowiadało jak się nasze losy ułożyły. Ja m.in. opowiadałem jej o moim udziale w ZWM-owskiej grupie operacyjnej, o walce z rodzimym podziemiem i banderowcami. Jakaż była moja przyjemność, kiedy ona zapytała mnie czy udział w walkach z nacjonalizmem ukraińskim wpłynął ze złożonej przysięgi pod krzyżem w czasie pogrzebu jej matki. Odpowiedziałem twierdząco na jej pytanie i ze zdziwieniem zapytałem, skąd ona o tym wie. Odpowiedziała mi wówczas, że ja jej o tej przysiędze powiedziałem. Byłem z tego po trzydziestu siedmiu latach bardzo rad, że i ona o tym pamiętała. Bo cóż może być piękniejszego jeśli o przyrzeczeniu po tylu latach można było powiedzieć, że się słowa dotrzymało. W tym przypadku nie chodzi być może o to co robiłem, nie zawsze mogło być humanitarne, ale chodzi o to, że jest dobrze jeśli człowiek jest wierny samemu sobie, jest wierny danemu sobie słowu, swemu przyrzeczeniu, czy postanowieniu.

Jak wielkie jest przywiązanie ludzi ze wsi do ziemi i własnego dobytku może świadczyć następujący fakt. W kilka dni po omawianym pogrzebie kuzyn z tej samej wsi Kopytków – Kazik Gliński, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, wybrał się na wieś ze swoją koleżanką, bo coś im trzeba było przynieść ze wsi. Poszli i nie wrócili, wszelki ślad po nich zaginął. Do dzisiaj nie wiadomo w jakich okolicznościach zostali zamordowani. Reakcją na bezpardonowe mordy dokonywane na ludności polskiej przez Ukraińców była organizacja tak zwana Samoobrona. Samoobrony powstały tam, gdzie były duże skupiska Polaków. Ciekawostką jest fakt (ale fakt wytłumaczalny), że Niemcy w kilku przypadkach sami dawali niewielkie ilości broni na poszczególne wsie, żeby Polacy bronili się sami. Prawdopodobnie taki fakt wykorzystali odpowiedni ludzie z ZWZ, a później AK, i w oparciu o trzydzieści karabinów otrzymanych od Niemców rozbudowali w Zasmykach samoobronę dywizji partyzanckiej. Dzisiaj wiadomo, że losy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK z oczywistych względów nie mogły zależeć od tego, czy hitlerowcy dadzą te trzydzieści karabinów czy też nie. Natomiast dla mnie nie ulega wątpliwości, że ten moment mógł być właściwie wykorzystany, stąd być może utrzymująca się legenda na ten temat. Prawdą jest jednak, że czasowe miejsce postoju 27 dywizji nieopodal Kowla specjalnie przez Niemców niepokojone nie było, jest to jeden z dziwów spraw wołyńskich.

Tego typu miejska organizacja samoobrony powstała w Zdołbunowie. Jednym z jej szefów był ojciec mego kolesia senior Olczak. Konspiracyjne kontakty Olczaka, jak pamiętam, zaczęły się wcześniej. Pamiętam jak jeszcze przed rozkręceniem zasadniczych działań organizacyjnych wpadli do Olczaka ludzie z Generalnej Guberni. Wykorzystywali oni w tym celu pociągi robotnicze tak zwane Bauiensty. Zatrudnieni w nich byli Polacy zza Buga. Te rzekomo towarzyskie spotkania były osłonięte mgłą tajemnicy. Dziś mam realne podstawy domyślać się, że najprawdopodobniej był to okres organizacji zbrojnej prołondyńskiej na Wołyniu, a nawet działań słynnego po wojnie Wachlarza. Na początku u Olczaków usiłowano przede mną tego rodzaju sprawy ukryć, ale kiedy zorientowano się, że nie da rady po prostu po rozmowie dopuszczono mnie do niektórych spraw i tak się zaczęła moja skromniutka pomoc w tym zbożnym dziele. Wykorzystywano mnie prawie zawsze w parze z Wackiem. Nosiliśmy jakieś karteczki do różnych ludzi w mieście. Pośredniczyliśmy w przenoszeniu większej ilości gotówki okupacyjnej, którą na jakiejś zasadzie wymieniono na rajschmarki, tj. na pieniądze, które były w obrocie III Rzeszy. Kombinacja wymienna była niezbędna ze względu na to, że za te pieniądze dużo łatwiej kupowano broń od Węgrów, czy też czasem od Niemców. Zdarzały się też co prawda wypadki sporadyczne, że tu i ówdzie rozbrajano pojedynczych Niemców, podejrzenia w zasadzie nie padały na Polaków, a raczej na Ukraińców lub też na konspirację radziecką, która w czterdziestym trzecim roku była już dość żywa. Można mieć mieszane uczucia w związku z tym, ale w tego typu robocie nie było i nie będzie sentymentów.

Trzeba jasno powiedzieć, że na Wołyniu nie było większych kłopotów ze zdobyciem broni, było wiele źródeł zaopatrzenia. Co nieco odnajdywali ludzie z 1939 roku, trochę przybywało z pól bitewnych roku 1941, część dokupywano i tak szło. Dowodem łatwości zdobycia uzbrojenia może być fakt, że i my z moim Wackiem wspomogliśmy się w hand-granaty z handlu między kolegami. Były to niemieckie granaty z drewnianą rączką i w użyciu bardzo bezpieczne. Posiadanie takiego uzbrojenia dawało szczególną pewność siebie. Nie braliśmy pod uwagę konsekwencji w razie wykrycia „naszego uzbrojenia” przez Niemców, ale jakoś się udawało. Granaty te nazywaliśmy między sobą tłuczkami z uwagi na ich zewnętrzną podobiznę do zwykłego tłuczka, którym nasze mamy rozgniatały ziemniaki.

Pewnego razu zimą chciałem się dostać z jednego krańca miasta na drugi. Będąc już wycwanianym wyrostkiem chyba zbyt pewnym siebie, postanowiłem nagle nie iść piechotą a podjechać

przejeżdżającymi chłopskimi saniami. Rzecz polegała na tym, że przejeżdżający chłop był na pewno Ukraińcem i dlatego nie miałem pokazać „kto w mieście rządzi”. Tak więc nie namyślając się wskoczyłem na te sanie bez pytania i zacząłem jechać. Chłopu taka bezczelność z mojej strony wcale nie odpowiadała, więc też bez namysłu zdzielił mnie przez łeb batem, którego koniec boleśnie zahaczył o moją chudą szyję. Nie namyślając się długo spod kapoty wyciągnąłem ten „tłuczek” i zdzieliłem nim chłopa w plecy. Chłop jak zobaczył w moim ręku granat, jak podciął konie, to miałem trudności z zeskokowaniem na potrzebnym mi zakręcie drogi. Jakoś nie przyszło mi do mego durnego łba, że chłop mógł sanie skierować w rejon posterunku żandarmerii, ale widocznie miał on lepszego pietra niż ja.

Pamiętam taki fakt, że pewnego razu, w końcowym okresie okupacji wjechało kilka furmanek z partyzantami radzieckimi na nasz rynek, poczynili zakupy i odjechali. Niemcy ich nie niepokoili i taką samą postawę zachowali partyzanci. Niemcy nie czuli się gospodarzami, stąd i przestraszyć ich było stosunkowo łatwo. Jest powiedzenie – okazja czyni złodzieja. Pewnego razu na tej zasadzie zadziałaliśmy z Wackiem. Szliśmy zimą, późnym popołudniem robiło się już ciemno, w kierunku ulicy Szewczenki przechodziliśmy koło baraku niemieckiej firmy Todtt, była to firma wykonująca pracę na rzecz Wehrmachtu, specjalizująca się w robotach budowlano-ochronnych. Idąc zajrzeliśmy pod niedokładnie opuszczoną zasłonę, patrzymy a wewnątrz siedzi drzemiąc staruszek Niemiec. Jedno spojrzenie na siebie wystarczyło – zaczęliśmy łomotać w ramę okienną. Staruszek tak się przeraził, że trzymana fajka w ustach wypadła mu, bo zaczął robić przekomiczne miny ze strachu. Podrygiwał na siedzeniu, unosił do góry nogi i ręce, przeraźliwie przy tym wrzeszcząc. Nie czekając na dalsze efekty baletowe dziadka (być może ducha winnego) daliśmy nura z tego miejsca. Nie powiem, żeby taki numer mógł się nam nie spodobać. Wiedzieliśmy gdzie mieszkają Niemcy kolejarze i muszą mieć podobnego „mojra”, toteż nie obyło się bez kopania lub rzucania kamieniami w ich drzwi. Kopaliśmy wtedy kiedy można było szybko się schować, kiedy takiej możliwości nie było, rzucaliśmy z ukrycia kamieniami. Przedsięwzięcie było o tyle bezpieczne, że byliśmy święcie przekonani, że płoszony szkopgonić wieczorem nie będzie. Sztuka polegała tylko na tym, że przed naszym atakiem musieliśmy się upewnić czy przypadkiem nie widać patroli niemieckich, bo wtedy mogło być lyso.

Zastanawiam się dzisiaj czy te nasze wyglupy z Niemcami, były uwarunkowane tylko elementem instynktu patriotycznego i chęci odwetu w wymiarze dostępnym dla nas. Chcąc być szczerym muszę powiedzieć, że były to też normalne ciągoty do swawolenia. Przy tym należy zaznaczyć, że określona część moich rówieśników miała w miarę normalne życie, czego wyrazem była nauka na tajnych kompletach. Gwoli ścisłości muszę powiedzieć, iż wiem o pobieranej nauce w warunkach konspiracji, ale były to przypadki nieliczne, ponieważ moi koledzy ministranci – Krzeszowcy w takiej nauce udziału nie brali. Z drugiej strony wiem na pewno, że moja była nauczycielka pani Korzeniowska dość często składała wizyty w lepszych domach. Bardzo chętnie na te komplety przychodziły dzieci i młodzież naszej miejskiej śmietanki. Wydaje mi się, że w warunkach naszego miasteczka tego typu pobieranie nauki było uwarunkowane statusem majątkowym rodziców. Wniosek taki wyciągam w oparciu o fakt, że przecież Krzeszowcy mieli się za swego rodzaju inteligencję, ale żyli bardzo skromnie, ponieważ sama matka miała na utrzymaniu dwóch dorastających synów.

Z przedstawionego okresu mego życia pozostała mi niezła umiejętność właściwego a i pożytecznego dla mnie znajdowania się w różnych środowiskach ludzkich. Umiejętność dostosowania się niejednokrotnie była i jest mi przydatna w życiu. Mówiąc mniej poważnie, bawiło mnie to nieraz i dogadzało moją próżność, że brano mnie za skromnego, dobrze ułożonego chłopca z biednej rodziny a ja miałem się przecież za niezłego urwipolcia. W tym jedno mnie pociesza, że w zasadzie (poza nielicznymi chyba wyjątkami) prawie nigdy nie uważałem siebie za „biednego krewnego” w stosunku do tak zwanych lepszych środowisk.

Nie wspominałem do tej pory o kwestii żydowskiej w naszym mieście. Żydów jak we wszystkich ósrodkach miejskich na Wołyniu było dużo. Nosili w swojej psychice stygmat pogodzenia się z nieuchronnością swego losu w Zdołbunowie. Wywożono ich na miejsce straceń w godzinach przedpołudniowych. Jadąc odkrytymi samochodami ciężarowymi w asyście dwóch ukraińskich policjantów zdobywali się tylko na to, żeby pomachać nam na pożegnanie rękoma. Wywożono osobno kobiety i dzieci i osobno mężczyzn. Przecież Polacy w podobnej sytuacji rozpirzyli by w drobny mak tych policjantów i samochód – oni jednak na to nie mieli siły woli, oni po prostu chyba duchowo pogodzeni byli ze swoim nieuchronnym fatum. Zorientowałem się w jakiś czas potem, że ich postawa była wynikiem wpływów religijnych. Co bardziej przedsiębiorczy Żydzi mieli jednak na terenie getta kryjówki. Widocznie liczyli, że po zdjęciu ochrony uda im się umknąć śmierci. Niemcy dość długo trzymali ochronę i metodycznie przeszukiwali wszystkie potencjalne miejsca mogące służyć ukryciu się. Niejednokrotnie widzieliśmy wyprowadzanych pojedynczo Żydów na stracenie. Jako jedną z ostatnich (jeśli dobrze pamiętam) widziałem znajomą młodą Żydówkę prowadzoną na rozstrzelanie. Wspominam o tym dlatego, że wobec ciągłego zagrożenia osobistego i ciągłych ataków zbrodni popełnianych na ludności Zdołbunowa, po prostu jakoś przyzwyczailiśmy się do tego, a w odniesieniu do tej młodej Żydówki coś we mnie drgnęło, może dlatego, że była prawie moją rówieśnicą. Dziś trudno

sobie taką znieczulicę wyobrazić, ale tak faktycznie było. W tym czasie bywałem czasem na dworcu jako czyścibut i zorientowałem się, że istnieje realna szansa jazdy pociągiem do Kowla. Pomyślałem sobie, że jak front stoi w miejscu, to w ciągu trzech dni mogę pojechać do Kowla i przywieźć trochę towaru, który miałem zamiar sprzedać po wejściu armii radzieckiej i byłby świeży grosz, umożliwiający jakiś start w nowych warunkach. O swoim zamiarze powiedziałem Wackowi, za dzień czy dwa Wacek powiedział mi, że gdybym był zdecydowany jechać, to żebym przed wyjazdem skontaktował się z jego ojcem. Po ceregielach z matką wyjazd był uzgodniony. Poszedłem do Olczaka seniora, ciekawy będąc czego ode mnie chce. Po raz pierwszy w życiu ktoś w zasadzie obcy poważnie ze mną przeprowadził rozmowę. Po tej rozmowie u Olczaków wszyto w moją kurtkę na plecach między warstwę watoliny kawałek jedwabiu zapisanego małutkimi cyferkami. Zrozumiałem wtedy, że to już nie żarty, że mam wykonać zadanie, którego by się i dorosły nie powstydział.

Na zakończenie rozmowy pan Olczak powiedział, że dobrze znany mi miejscowy Ukrainiec Prychodźko pragnie mnie zobaczyć. Zbyttnio zdziwiony tą sugestią nie byłem. Za wiedzą pana Olczaka w czasie pracy czyścibuta na dworcu kolejowym w Zdołbunowie, niejako przy okazji obserwując ruch pociągów właśnie temu Prychodźce składałem relacje, które go interesowały. Łatwo było mi tę funkcję wykonywać, gdyż z młodszym jego bratem uczęszczaliśmy razem do szkoły, przed wojną i za tak zwanych pierwszych sowietów. Przekazywanie informacji w zasadzie odbywało się przez młodszego brata. Olczak współpracował blisko z miejscowym ogniwem radzieckiej konspiracji. Przechowywał zbiegłych z obozów jeńców, których po kilku dniach bocznymi drogami przeprowadzano na kontaktowe adresy do Równego. Szczegóły tego działania znam stąd, gdyż dwa lub trzy razy szedłem w roli „świecy” przed tymi mężczyznami. W razie zatrzymania miałem prawdziwe wytłumaczenie, gdyż w Równem (12 kilometrów od Zdołbunowa) mieszkała jedna z moich starszych sióstr, Julia. Przyjąłem na siebie obowiązek dostarczenia również jego przesyłki do Kowla. Byłem niezmiernie zdziwiony, kiedy podano mi adres kontaktowy. Brzmiał on, ul. Maciejowska, numeru nie pamiętam, a nazwisko Melnyk. Toć to on i jego żona byli gospodarzami domu, w którym mieszkała moja najstarsza siostra. Ciekawe i pokrętne były drogi konspiracji. Sprawa polegała na tym, że po pomyślnym przyjeździe do Kowla miałem się zameldować u pewnego pana w dzielnicy starego Kowla, tj. za wiaduktem w rejonie dworca, ten człowiek miał mnie zaprowadzić do wsi Zasmyki, tam dopiero miałem powiedzieć, że przyjechałem ze Zdołbunowa od Olczaka z wiadomością wszytą na plecach. Na tym moje zadanie w tym zakresie kończyło się. Wyobraźnia zaczęła mi podpowiadać mnóstwo przeszkód w wykonaniu tego polecenia. Okazało się potem, że wykonanie tego polecenia nie nastręczało najmniejszych trudności. Nie trzeba dodawać, że czułem się wtedy bardzo dorosły i ważny. W przeddzień wyjazdu, tj. od razu po wszyciu mi tego kawałka materiału, poszliśmy z Wackiem do naszego miejskiego parku, aby „po męsku” pożegnać się. Chyba podskórnie czuliśmy, że minie sporo czasu zanim się znowu zobaczymy. Miałem wówczas z sobą świeże pudełeczko tytoniu (paliliśmy już wtedy – chyba dla dodania sobie dorosłości) wyciągnąłem ten tytoń, zrobiliśmy skręty i sztachnęliśmy się dymkiem. W pewnym momencie powiedziałem, że tego tytoniu sam więcej palić nie będę. Następnego papierosa z tego tytoniu zapalimy wtedy, jak wrócę z Kowla. Pożegnaliśmy się dość szybko, był to środek zimy na przełomie roku 1943/44. Udało mi się dotrzymać słowa danego Wackowi, bowiem po wielu perypetiach wróciłem do Zdołbunowa tracąc wszystko po drodze z wyjątkiem tego pudełeczka tytoniu.

Następnego dnia w godzinach rannych wyjechałem do Kowla. Dojechałem na miejsce w godzinach wieczornych zupełnie gładko. Po pół godzinie drogi byłem u siostry w domu. Następnego dnia przed południem zameldowałem się na starym Kowlu pod wskazanym adresem i otrzymałem wiadomość, że do Zasmyk będę mógł dostać się następnego dnia. Zgodnie z umową byłem we właściwym czasie na ulicy Brzeskiej i z przewodnikiem, po godzinie czy trochę więcej, idąc przez Lublatym znalazłem się w Zasmykach. Byłem bardzo ciekawy jak wyglądają polscy partyzanci? Pierwsze strażę, które spotkał się nie różniły się niczym specjalnym od innych ludzi, jakich udało mi się kilka razy przypadkowo widzieć. To, co w pobliżu sztabu zobaczyłem, to naprawdę, mówiąc dzisiejszym językiem, była olbrzymia bomba. Proszę sobie wyobrazić, po tylu latach różnych doznań i opinii na temat Polski i jej przyszłości, nagle znalazłem się w innym świecie. Rzecz nie do wiary zobaczyłem polskie mundury, było to przeżycie którego nie sposób opisać. Przystanąłem i chłonałem oczami ten wytęskniony widok. Dla tego samego warto było ryzykować, by się najeść kawałkiem Polski. Nie dane mi było długo kontemplować, ponieważ mój przewodnik zawołał mnie do jednego z domków, w którym dopełniłem rozprucia mojej kurtki i oddania poczty.

Po wykonaniu tego zadania, czy też inaczej, po załatwieniu tej sprawy zacząłem się rozglądać za towarem. Trudności w tym zakresie nie miałem, gdyż był duży ruch między Chełmem a Kowlem, bowiem polscy kolejarze często jeździli i przywozili różne towary, a że ja hurtownikiem nie byłem, wobec tego z zakupami nie miałem kłopotów. Tymczasem plany moje pokrzyżowały nieprzewidziane wypadki. Będąc już gotowym do drogi dowiedziałem się o ofensywie wojsk radzieckich. Czekaliśmy wszyscy z niecierpliwością na wejście Armii Czerwonej, ale jak to często bywa na wojnie nadzieje rzadko się spełniają. Tak było w moim przypadku. Natarcie radzieckie na kierunku mego powrotu zatrzymało się

w rejonie polesko-wołyńskiej rzeki Stochód. Nadzieje wszystkich, a szczególnie moje zaczęły blednąć. Ten stan rzeczy trwał chyba około półtora miesiąca. Szczęście, że miałem się gdzie zatrzymać.

Wytworzona sytuacja zmusiła mnie do czekania na dalszy rozwój wypadków, należało się przystosować do istniejących warunków, z uwagi na to pomagałem siostrze w domu w czym tylko mogłem. Nosilem obiady szwagrowi do pracy (pracował w rzeźni jako masarz), przy okazji odbierałem mięso rzucane przez płot i tak schodziły mi dni. Chodziłem codziennie po mleko do znajomej siostry, która miała przepiękną córkę w moim wieku, wiercie mi, była to skończona piękność, przecież na dziewczynce 14-15-letniej dobrze rozwiniętej już urodę kobiecą widać wyraźnie. Siostra mieszkała po zachodniej stronie miasta przy ulicy Maciejowskiej i najmowała mieszkanie u bardzo porządnym ludzi – gospodarzy narodowości ukraińskiej o nazwisku Melnik.

Jedna z sąsiadek siostry Dąbrowskiej miała męża w partyzantce radzieckiej i wcale się z tym nie kryła. Pewnego dnia byłem u niej na podwórku i w tym czasie zapędziły się nad naszą działnicę, jeśli tak można powiedzieć, radzieckie myśliwce. Wykonały kilka ewolucji na dość niskim pułapie. Fantastyczna była jej reakcja na widok tych samolotów. Ona do nich krzyczała na głos, jej twarz emanowała potężną radością, tego się nie da opisać, to koniecznie trzeba było zobaczyć. Ona tych lotników przyzywała całym swoim psycho do siebie jako wyzwolicieli spod czarnych dni okupacji.

14 marca 1944 roku rozwiały się kolejne nadzieje na powrót do Zdołbunowa, bowiem wojska radzieckie nie mogąc z marszu wyzwolić Kowla, okrążyły go i rozpoczęło się oblężenie miasta. Tam, gdzie ja przebywałem wytworzyła się szczególna sytuacja, ponieważ ze strychu murowańca, do którego schroniło się dość dużo ludzi, widać było niektóre pozycje radzieckie. Na dobitkę z tego, nie mówiąc już o ciągłym ostrzeliwaniu z obydwu stron, dochodziło wielokrotnie do tego, że w ciągu jednego dnia lustrowali nasz dom zwiadowcy niemieccy i kolejno radzieccy. Trzeba było na przykład drogą losowania przeskoczyć pod ogniem na drugą stronę ulicy po coś potrzebnego do egzystencji dla chroniących się w domu ludzi. Tym samym systemem wychodziło się do studni po wodę. Rzeczą nie do pomyślenia było, że ktokolwiek z wylosowanych mógł odmówić. Z losowania wyłączone były matki z małymi dziećmi i osoby niepełnosprawne. Ja w losowaniu nie miałem jakiegoś szczególnego pecha, a z tego co pamiętam dwa lub trzy razy wyprawiałem się po wodę i raz do mieszkania swojej siostry na drugą stronę ulicy. Szczególnie przykre było przechodzenie właśnie przez ulicę, bo tu był szczególnie intensywny ostrzał, dlatego robiło się to o zmierzchu, kiedy wszystko robiło się szare a zatem i trochę zamazane. Pamiętam jak pewnego razu z żołnierzami radzieckimi (zwiadowcami) przyszło dwóch oficerów i nie mogli wyjść z podziwu, że w jednym domu schronili się Polacy, Rosjanie i Ukraińcy, tłumaczono im, o ile dobrze pamiętam, że w miastach wśród zwykłych ludzi banderowcy dużych wpływów nie mieli. Tak faktycznie było. Niezapomnianym dla mnie momentem był fakt, że mieszkający nieopodal staruszek, podobno były carski pułkownik, mając do dyspozycji dwie potężne piwnice wolno stojące nie użył ich jako schronu, kazał tylko swojej rodzinie ukryć się tam, a sam siedział całe dni przy piwnicy i wsłuchiwał się w odgłosy walki. Po iluś dniach jakiś drań strzelił do staruszka, który chyba nawet nie wiedział że zginął, bo pocisk przebił mu czoło u nasady brwi. Mówiono potem u nas, że chyba sam szukał żołnierskiej śmierci. W czasie pobytu w murowańcu bywały chwile bardziej gorące. Do takich zaliczyć należy moment, kiedy radzieckie czołgi podjechały ulicą pod nasz murowaniec i zaczęły kanonadę w kierunku Niemców, którzy byli usytuowani w odległości około dwustu metrów przy niedużym mostku. Sam ostrzał niemieckich pozycji nie byłby dla nas specjalnie groźny, gdyby nie to, że w naszym ogrodzie między drzewami leżało kilkunastu Niemców i skutku takiej sytuacji nie można było przewidzieć.

Do dzisiaj dla mnie zastanawiające jest to, że żadna ze stron walczących nie usiłowała wykorzystać tego murowańca na punkt obserwacyjny, jako że położenie budynku wyraźnie do tego celu się nadawało, ponieważ niektórzy z nas (co odważniejsi) wchodził na strych i obserwowali pozycje obydwu stron walczących.

Nie pamiętam dobrze czy to w tym dniu, czy w następnym wpadli do nas oficerowie radzieccy i powiedzieli „uchoditje od siuda zdies budiet balszjoj boj”. No i mieli rację, w tamtym rejonie nie pozostał kamień na kamieniu. Pamiętam jak dziś. Było to w godzinach rannych. Każdy z nas zebrał swój dobytek w węzełek lub walizkę i czekał na sygnał ze strony radzieckiej, że przynajmniej z ich strony nic nie grozi. W pewnym momencie oficer dał nam znać, że można biec w stronę ich pozycji. No i zaczął się szaleńczy bieg. Przeskoczenie dwustu czy trzystu metrów w normalnych warunkach nie stwarzałoby takich trudności, jak w tej sytuacji. Ogień z broni ręcznej (niemiecki) na moment jakby przycichł, a w chwilę potem rozjazgotał się na dobre. Dodatkowym utrudnieniem było to, że odcinek który pokonywaliśmy tak szybko jak kto mógł, miał dość szeroki pas gęstego błota spowodowanego roztopami. Niemcy obłożyli nas ogniem z moździerzy i trzeba było nieraz klapnąć w błoto, żeby uchronić się przed odłamkami. Walizka moja ze skromnym dobytkiem została w tym błotku, ale że nieszczęścia chodzą parami, to na dodatek i jeden but też tam został. Ile czasu trwał ten szaleńczy bieg o największą nagrodę – życie, nie wiem. W pewnym momencie zatrzymali mnie radzieccy moździerzyści, którzy ostrzeliwali niemieckie pozycje i dopiero wtedy ochłonałem. Ten dzień zapisał mi się w pamięci jako

słoneczny, być może kojarzy mi się to z widokiem niemieckich trupów, których leżało w pewnych miejscach dość dużo. Trupy niemieckie, nie wiem, czy były tak wypasione, czy już opuchnięte, ale wyglądały masywniej od ciał radzieckich żołnierzy. Kłopot miałem z obuwiem bo było jeszcze dość zimno, była to połowa kwietnia a miałem do przebycia sporo kilometrów po poleskich błotach i bagniskach, wzmocnionymi wiosennymi roztopami. Z kłopotu wybawili mnie radzieccy żołnierze, przynieśli mi ściągnięte jakimś frycowi saperki. Saperki są to buty z cholewami dość krótkimi, ale za to bardzo mocne. Bieda w tym, że były na mnie sporo za duże, ale wyboru nie było.

Nie mogę zapomnieć jednego z najbardziej potwornych epizodów tamtych dni. Jawi mi się on zawsze, kiedy wracam myślą do tamtych czasów. O zmierzchu wszedłem do jakiegoś ocalałego domu, żeby przencocować. Zostałem tam kilkoro ludzi. Po znalezieniu sobie kąta zorientowałem się, że głęboko stękającym nie jest dorosły człowiek a dziecko pięcio-sześcioletnie. Dziecko uzyskało pierwszą pomoc lekarską i widocznie nie było nadziei na wyzdrowienie, bo nie zabrano go do któregoś ze szpitali wojskowych. Okropnie męczyła nas bezsilność, że temu dziecku nie ma sposobu ulżyć. Dzieciątko to było przeszyte pociskiem z lotniczego karabinu maszynowego. Tragedia wyglądała następująco. Już w godzinach rannych tego dnia, matka maleństwa znalazła się w tym domku, nie było tam już bezpośredniego zagrożenia, ponieważ od pierwszych pozycji bojowych było ponad dwa kilometry. Dziecko stało w oknie wyglądając na świat, w pewnym momencie nadleciał niemiecki myśliwiec i wypuścił śmiertcioną serię w ten domek, jeden z pocisków wielkokalibrowych dosięgnął chłopczyka. Nie znam jego losów, ponieważ rano następnego dnia udałem się w dalszą drogę. Pisząc jeszcze jestem pod wrażeniem tego rannego dziecka, zdaje mi się, że jeszcze słyszę głuche, głębokie stęknienia bezbronnego dziecka, skazanego niechybnie przez zły los na męczarnie i śmierć. Mimo woli myślę o swoich wnuczkach, z których jeden Bartek jest właśnie w takim wieku jak tamto umierające dziecko. Wojna to straszna rzecz i oby moi wnuczowie nie musieli jej doznać.

Nie było co jeść i dlatego wyprawialiśmy się kilka razy w pobliże Kowla, by w opuszczonych domach znaleźć cokolwiek do jedzenia, chyba że dwa razy plądrowaliśmy zatrzymany niemiecki pociąg, który był ostatnim, jaki chciał uciec z zaciskających się kleszczy pancernych radzieckich wojsk. Ostatni dlatego, że przy ostatnim wagonie miał urządzenie podobne do pługa-piły, które przecinało podkłady kolejowe uniemożliwiając przejazd pociągów. Tak oswoiliśmy się z bliskością śmierci, że zwłoki ludzkie w plądrowanych przez nas domach i w transporcie nie przeszkadzały nam w poszukiwaniu pożywienia, życie jednak ma swoje twarde prawa.

Obchodząc okrążony Kowel znalazłem się przejściowo w rejonie wpływów ludności polskiej w takich wsiach jak Lublatyn i z powrotem miejscowość Zasmęty, gdzie nie tak dawno zachwycałem się widokiem polskiego munduru. W Lublatynie przygarnęli mnie bardzo dobrzy ludzie, chociaż ja już byłem u nich w drugiej dziesiątce uciekinierów z Kowla. Pomagaliśmy gospodarzom w domowych robotach, bo przecież samo przygotowanie na taką ilość ludzi posiłków wymagało wielu dodatkowych zabiegów. Ja między innymi zajmowałem się zwózką drewna z pobliskiego lasu i cięciem go na potrzeby opałowe gospodarstwa.

Widziałem tam dość nietypową sprawę jak na wołyńskie warunki polityczne, zezwolono miejscowym Polakom na wstępowanie do 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Widziałem jak miejscowi działacze z opaskami biało-czerwonymi załatwiali kwestie mobilizacyjne. Po wojnie mogłem się domyślić, że władze wojsk radzieckich zezwoliły na ten precedens z uwagi na to, że oddziały dywizji walczyły ramię w ramię z wojskami radzieckimi przeciwko wojskom hitlerowskiemu, ale też mogło być inaczej, mogły władze dywizji korzystając z niestabilizowanej sytuacji przyfrontowej na własną rękę tego dokonać, bowiem wyraźnie się wtedy mówiło, że zmobilizowani mężczyźni pójdą na pomoc Warszawie, był to być może jeden z przejawów przygotowania Powstania Warszawskiego, tego elementu wykluczyć nie można. Drugim epizodem wartym wspomnienia były wykonywane roboty na rzecz wojsk radzieckich. Jak już wspomniałem, była wtedy wiosna i podejścia dróg frontowych były bardzo trudne ze względu na mokradła i roztopy.

Pewnego pogodnego dnia żołnierze radzieccy zebrali ze wsi wszystkich zdolnych do pracy mężczyzn, mnie też do nich zaliczono i zaprowadzono nas przez okoliczne lasy, pod Kowel, do budowy prowizorycznej drogi. Drogę budowaliśmy w ten sposób, że ścinałiśmy drzewa, ciąłiśmy je potem na odpowiednią długość i układaliśmy te okrągłaki jeden przy drugim i w ten sposób powstawała droga, po której mogły przejechać czołgi, a o to (wydaje mi się) chodziło, bo piechota dawała sobie radę. Przed południem przeżyliśmy nalot niemiecki, na szczęście obyło się bez strat: Charakterystyczne było to, że niemieccy lotnicy zrzucali niewielkie bomby i jak się potem zorientowaliśmy także skrzynie wyładowane granatami czy innymi mniejszymi pociskami, które detonowały się nad ziemią a deszcz odłamków sypał się na dół. Być może zostalibyśmy nieźle pokiereszowani, gdyby nie radzieckie myśliwce, które wybawiły nas z tego deszczu odłamków. Na szczęście lotnicy niemieccy jeszcze się dobrze na nas nie przymierzili.

Po skończonej w tym dniu pracy prowadzono nas, z nieznanym nam powodem, do Lublatyna inną drogą. Po pewnym czasie doszliśmy do jakiegoś skrzyżowania, na które zaczęliśmy spokojnie wchodzić.

Po drugiej stronie widzieliśmy żołnierzy radzieckich w trakcie posiłku. Ja szedłem w czołówce powracającej grupy, kiedy znaleźliśmy się już na skrzyżowaniu zaczął się cholerny raban. Podbiegli siedzący żołnierze i zaczęli przeraźliwie krzyczeć, że weszliśmy na założone przez nich miny. Zatrzymali nas tam, gdzie każdy stał i każdego wyprowadzali pokazując, gdzie można postawić nogę, cofnąć się nie było sposobu. Zastanawiałem się nieraz nad tą przygodą, ile trzeba mieć wojennego szczęścia, żeby w około dziesięciu chłopów wejść na zaminowane skrzyżowanie i żeby nikt nie wlaź na minę, to się nazywa „mieć farta”.

Idąc dalej w kierunku linii komunikacyjnych (kolejowych) wszedłem w rejon wioski o wpływach ukraińskich. Marsz przez te wioski był dużo mniej przyjemny, może nie chodziło tyle o bezpośrednie niebezpieczeństwo zagrażające życiu, ile, że trzeba było udawać tego, kim się nie jest, to znaczy Ukraińca. Bywało tak, że trzeba było wchodzić do domostw i prosić o jedzenie, bo głód nieraz dość ostro dawał znać o sobie. Drażliwym momentem bywał fakt, że w czasie prośby prawie zawsze pytano „ty Lach czy Ukrainiec”. Oczywiście mówiłem, że Ukrainiec, bo w prowadzeniu konwersacji w języku ukraińskim (jak już wcześniej wspominałem) byłem zupełnie dobry i nie odróżniałem się od wyrostka ukraińskiego, który ciągnie do domowych pieleszy. Zapamiętaną wsią z tego odcinka jest Lubitów.

Dochodząc pod wieczór do Lubitowa byłem cholernie głodny i głównym moim zmartwieniem było czymkolwiek zapchać żołądek. Wszedłem do jakiegoś domu z prośbą o coś do jedzenia i przenocowania w jakimś kątku. W domu był niecodzienny ruch. Okazało się, że młoda kobieta wije się w bólach porodowych. Ktoś z domowników, nie wiem jakim cudem, rozpoznał we mnie Polaka, sytuacja w pewnym momencie zaczęła być nad wyraz nieprzyjemna, bowiem okazało się, że męża położnicy zabili Polacy. Z oczywistych względów sympatycznym okiem na mnie nie patrzono. Wtedy poszedłem na całego i powiedziałem, że za przenocowanie, kolację i bochenek chleba oddam swoje buty (te niemieckie saperki), chociaż była już druga połowa kwietnia i słońko wychodziło dość wysoko, to jednak bywało jeszcze zimno, ale nie miałem wyjścia. Tym sposobem, po pewnych dyskusjach ze strony gospodarzy otrzymałem to, co mi było najpotrzebniejsze. O osobiste bezpieczeństwo specjalnie się nie bałem. Po pierwsze we wsi było dużo radzieckich żołnierzy i w tej sytuacji zlikwidowanie mnie mogłoby cały dom narazić na bardzo poważne konsekwencje, a po drugie i być może najważniejsze, w tym domu rodziło się nowe życie i ukroczenie łba polskiemu wyrostkowi nie pasowało do tamtejszej obyczajowości, o czym ja też wiedziałem. Na drugi dzień rano dano mi jeszcze coś do zjedzenia i wyruszyłem w dalszą drogę w kierunku na Hołoby, bo kolejowa linia jeszcze w Lubitowie nie funkcjonowała. Tym razem w drodze miałem szczęście, bo wychodząc na główną drogę nawinałem się na furmankę, którą powoził radziecki żołnierz, przygarnął mnie do siebie i tym sposobem pod wieczór dojechaliśmy do Hołobów.

W miasteczku liczyłem na to, że znajdę jakąś polską rodzinę, u której będę mógł przenocować i nazajutrz próbować dostać się na jakiś pusty transport odchodzący z frontu po nowe zaopatrzenie. W pobliżu kościoła zapatrzyłem się przez moment na beztrzesko bawiące się dzieci i ku mojej wielkiej radości usłyszałem, że między sobą rozmawiają po polsku. Reszta poszła dość gładko, matka tych dzieci przyjęła mnie czym mogła, oczywiście musiałem jej opowiedzieć skąd i po co wędruję. Największą przyjemnością tego wieczora była możliwość dość dokładnego obmycia się dobrze ciepłą wodą.

Wydaje mi się, pisząc te słowa, że jeszcze pamiętam tę wielką rozkosz obmywania swego ciała nagraną wodą z mydłem, którego dawno nie miałem w rękę. To było coś, co się bardzo długo pamięta. Czytając te wspomnienia może wydać się dziwne, że obmyciu ciała ciepłą wodą poświęcam tyle uwagi. W drodze zdarzyło mi się myć ale było to różne mycie nie wyłączając czystszych przydrożnych cieków wodnych. Tę noc spałem jak nowo narodzony, snem sprawiedliwego. Rano podziękowawszy za serdeczne przyjęcie powlokłem się w kierunku stacyjki. Koło południa zdarzył się skład pustych wagonów odchodzących w Itierunku Równego, to mi bardzo pasowało, bo dojeżdżałem prawie do samego domu, a ponadto w Równem mieszkała moja siostra zamężna Julia i z naturalnych względów chciałem się u niej na dzień czy dwa zatrzymać oraz zorientować się co w naszych stronach słychać. Chodząc koło wagonów szukałem jakiegoś towarzystwa, bo kilka godzin jazdy w pustym towarowym wagonie, luksusem towarzysko-psychicznym nie było, podróż bardzo dłużyłaby się.

W jednym z wagonów znalazłem starszego żołnierza radzieckiego, który też jak się potem dogadaliśmy, jechał do Równego. Nie długo przed odejściem transportu dobiły do nas dwie osoby. Pierwszą osobą był polski partyzant bardzo przyzwoicie ubrany i pięknie uzbrojony, miał nową pepeszę (tj. pistolet maszynowy z okrągłym magazynkiem) i za pasem rewolwer (tj. bębenkowiec). W chwilę po nim doszła jeszcze jakaś młoda dziewczyna i tak we czworo jechaliśmy do Równego. Partyzant, przystojny chłopak z wąsikami, z mety dogadał się z dziewczyną i w kącie wagonu zalecali się do siebie w granicach wojennej przyzwoitości. Po kilku godzinach jazdy dojechaliśmy na przedpola Równego. Tu zastał nas alarm lotniczy. W tym czasie jeszcze niemieckie samoloty docierały nad obszar wołyńskich miast i wyrządzały istotne szkody w transporcie, ludność też wielokrotnie była dotkliwie poszkodowana. W trakcie tych bombardowań ginęło dość dużo ludności cywilnej. Był to dopiero początek końca tragedii ludności Wołynia. Z oczywistych względów pociąg musiał przeczekać nalot na miasto. W jakiś czas po ataku lotniczym dojechał do Równego. Idąc do siostry wiedziałem, jakie szkody wyrzą-

działy niemieckie bombardowania. Szedłem trochę z duszą na ramieniu, zastanawiając się czy domek Juli trzyma się czy może jest w gruzach, chociaż noc, to zniszczenia były zupełnie widoczne. Rozwiał się moje nadzieje, że z dala od frontu jest spokój, że będzie można po trudach wędrówki należycie odzignąć.

Na szczęście domek siostry stał w nienaruszonym stanie i co najważniejsze siostra była w domu. Następnej nocy miałem na swojej skórze odczuć bliskość bombardowania. Zaczęły się sypać bomby w bezpośredniej bliskości. Do dzisiaj wspominamy obydwójce z siostrą jak wtedy spadały ze ścian obrazy. Na marginesie tego, jeden obraz do dzisiaj (ten co spadł) wisi u siostry w domu na ścianie i jego obecność przypomina nam dawne czasy. Mogę powiedzieć jedno, bombardowania na zapleczu frontu przeżywałem jakoś inaczej, to znaczy mocniej, bardziej się bałem. Wynikało to być może z nastawienia, że na zapleczu frontu będzie spokój i nastawienie psychiczne bojaźni o życie było inne. Pragnienie zachowania życia po wyjściu z piekła okrażenia oraz po przeżyciu przygód w czasie wędrówki w rodzinne pielesze, powodowały dużo większy strach, bo przecież zdawaliśmy sobie sprawę, że wojna jeszcze się nie skończyła, ale koniec nie jest daleki. Być może również wyczerpanie fizyczne i psychiczne pogłębiało ten stan.

Po dwu, czy trzydniowym pobycie u siostry dobiłem do Zdołbunowa. W domu, po kolejnym doprowadzeniu się do porządku pierwsze kroki skierowałem do Wacka. Pierwsza sprawa, byłem szczęśliwy i chyba dumny, że udało mi się, to wspomniane pudełko z tytoniem uchronić i donieść do Zdołbunowa, bo przy ponownym spotkaniu z Wackiem (jeśli wróce) zapalimy kolejnego papierosa. Druga sprawa, nie mniej ważna, to uważałem za swój obowiązek, chociaż amatorsko to załatwiałem, zameldować ojcu o dostarczeniu przesyłki pod wskazany adres. Okazało się, że ojciec Wacka został zmobilizowany do Armii Berlinga. Nie używało się wtedy nazwy I Armia, tylko Armia Berlinga. Z Wackiem niezwłocznie wyszliśmy na miasto, żeby sobie poopowiadać, co który przeżył. Ja Wackowi opowiedziałem o swoich perypetiach, a on opowiedział mi jak go jeden z chłopców ukraińskich skrobnął w twarz (lekko) nożem i jak wariowali w siedzibie niemieckiej policji, kiedy Niemcy się już wycofali, a Rosjan jeszcze nie było. Z jego opowieści utkwiło mi w pamięci to, jak bujał się na żyrandolu i z nim razem spadł. Oczywiście doszliśmy do parku, siedliśmy na naszej ławce i zapaliliśmy po skrócie z mego tytoniu, który przedziwnym zbiegiem okoliczności ocalał w mojej kieszeni. Czemu ten fakt podkreślam? W tamtych czasach byliśmy jeszcze dziećmi pragnącymi zabaw i psoty, ale jednocześnie dorośliśmy i uważaliśmy, że w takiej przyjaźni, w jakiej obaj żyliśmy, sprawa danego słowa była bardzo ważna i punktem honoru było danego słowa dotrzymać (Boże ty mój, gdzie te czasy). W związku z nocnymi bombardowaniami ludność polska znalazła się w nieciekawej sytuacji. Rzecz polegała na tym, że ludność prawosławna mogła schronić się bez obaw na któreś z pobliskich wsi, jako że okoliczne wioski nie leżały w orbicie zainteresowań niemieckiego lotnictwa. Z Polakami było trudniej, ponieważ istniało duże niebezpieczeństwo postradania życia na skutek działań banderowców. Z uwagi na to administracja radziecka organizowała specjalne pociągi i ludzie wyjeżdżali na noc na kolonie czeskie, które szczęśliwie położone były przy liniach kolejowych. Nad ranem ludzie wracali i szli do swoich zajęć, tak było prawie codziennie. Piszę prawie, ponieważ przed każdym nocnym nalotem obowiązkowo przelatywał samolot rozpoznawczy i to było dla nas sygnałem, że na noc z miasta trzeba było wiać. Niezależnie od naszych prognoz pociągi były zawsze podstawiane i odjeżdżały w określonym czasie, tyle że mniej zatłoczone. Ja z zasady bardzo rzadko z tego systemu korzystałem. Matka z siostrą Lotką często wyjeżdżały, ale nie zawsze, szukały innych możliwości, m.in. ryzykowały czasem piesze wyjście do podmiejskiej wsi Bogdaszowa i nocowały u znajomych Ukraińców o nazwisku Żelazny. Ja w ucieczkach z miasta nie trzymałem się matki a chodziłem z rodziną Olczaków. Miało to taki plus, że w razie jakiegoś nieszczęścia nie ginęła cała rodzina i moja matka chyba dlatego w ogóle nie protestowała.

Tak było dopiero po kolejnym otarciu się o śmierć. W pierwszym dniu po mojej wędrówce z Wackiem po mieście i wypaleniu skręta poczułem się zmęczony i postanowiłem na tę noc z miasta nie uchodzić. Matka z Lotką na noc wyszły a ja położyłem się spać. Myślę, że zasnąłem bardzo szybko i mocno, ponieważ nie usłyszałem nadlatujących samolotów, obudziły mnie wystrzały artylerii przeciwlotniczej. Zrywając się z posłania już widziałem rozwieszzone (jak to wówczas nazywaliśmy) żyrandole, przez pierwsze niemieckie samoloty. Widniutko było jak w dzień. Na dodatek było to przed pierwszym majem (wielkie święto) i ktoś może celowo kazał krawężniki w śródmieściu pomalować na biało wapnem. Przecież z góry piloci mieli wspaniale zarysowane ulice miasta, co niewątpliwie musiało ułatwiać bombardowanie. Kiedy wybiegłem na ulicę jeszcze rozespany naprawdę nie wiedziałem co z sobą zrobić. W jakimś momencie na tyle ochłonąłem, że zdałem sobie sprawę z jednego, trzeba ile sił w nogach uciekać ze śródmieścia i zacząłem wiać w kierunku zupełnie niewłaściwym bo żeby wydostać się z miasta trzeba było przebiec koło cementowni, przeskoczyć dwa tory kolejowe i dopiero walić w kierunku przymiejskiej wioski Staromylska. Gorszego kierunku ucieczki nie mogłem obrać. W domu nie było nikogo, co robiłem przez pewien czas nie bardzo pamiętam, mam w pamięci tylko przebliski tego jak biegłem od ściany do ściany. Potem musiałem trochę ochłonąć. Pamiętam, zacząłem liczyć spadające bomby. Rzecz polegała na tym, że te samoloty które bombardowały Zdołbunów i które też

znałem z obłączenia w Kowlu, zrzuciły cztery albo osiem bomb. W Kowlu nauczyłem się jeszcze jednej rzeczy. Wiedziałem, że jeśli spada bomba w odległości nie zagrażającej bezpośrednio, to wtedy słychać swoisty przejmujący gwizd, natomiast jeśli bomba lub pocisk spada w bezpośredniej bliskości, wtedy w pewnym momencie słyszy się jakiś diabelski szum zmieszany z potwornym jazgotem. Tak też było wtedy. Bomby zaczęły się sypać seriami po osiem sztuk, taki był widocznie ładunek jednego samolotu i ja to liczyłem. W pewnym momencie straciłem świadomość, oprzytomniałem na powietrzu, otwierając oczy zobaczyłem na niebie gwiazdy i wokół siebie znajome twarze właścicieli domu, do którego wpadłem.

Okazało się, że rodzina ta miała wykopany prowizoryczny schronik. Gospodarz stojąc w wejściu schronu widział jak ktoś wpadł do ich domu, ale bał się iść sprawdzić, gdyż w tym czasie już odłamki gwizdały w tym rejonie i można było oberwać. W niedługi czas po tym spadła seria bomb na zabudowania gospodarskie w wyniku czego jedna bomba uderzyła w oborę i rzecz trudna do uwierzenia, krowa przywiązana do żłobu (konja wtedy nie było) została cała i zdrowa, ale wyrzucona ze żłobem o kilka metrów od obórki. Jednak i takie cuda bywają. Jedna z bomb uderzyła (jak się potem okazało) w przeciwny róg domu. Chałupa oczywiście się rozsypała. Ja zostałem uratowany na skutek tego, że gospodarz widział jak ktoś wpadł do domu i po ustaniu bombardowania wygrzebano mnie z pod ruin domu. Znalaziono mnie jak mi potem opowiadali pod dębowym stołem, który uratował mi życie. Przez pewien czas nie bardzo mogłem mówić i mam w tym zakresie ślad do dzisiaj w postaci okresowego zacienienia się w trakcie mówienia.

Kilka słów o ojcu Olczaka (Wacka) i losów naszej samoobrony. Jeden z magazynków broni znajdował się w mieszkaniu u Olczaków i w skutek wścibstwa. Wacka, bo ja do magazynku dojścia nie miałem, uzbroiliśmy się jak na nasze warunki wcale nieźle. Posiadanie broni uważaliśmy za konieczne z dwu powodów. Powód pierwszy i zasadniczy to ten, że istniało cały czas zagrożenie ze strony banderowców takie, że matka Wacka zdecydowała się chronić na własnej podmiejskiej działce ziemi, którą miała po swojej matce. Wykopaliśmy tam zwykły dość pojemny dół, o ile pamiętam, mogło się tam pomieścić około dziesięć osób. Dół przykryty był deskami i ziemią tak, że z powodzeniem chronił od odłamków z bomb czy artylerii przeciwlotniczej. Plusem było to, że miejsce było usytuowane w odległości około dwa i pół kilometra od skraju miasta. Nocując jednak w tak oddalonym miejscu istniała realna możliwość natknięcia się na banderowców. W tej sytuacji posiadanie dwóch pistoletów typu parabellum i po dwa granaty być może nie gwarantowało pełnego bezpieczeństwa, ale stwarzało duże poczucie własnej pewności. Do dziś nie wiem, czy matka Wacka wiedziała o tym, czy Wacek ten „arsenał” sprokurował na własny szcnot, wtedy o tym nie rozmawialiśmy a w późniejszych latach ta sprawa nigdy w rozmowie nie wyszła. Wracając do zagrożenia, było ono namacalne, ponieważ kiedy pierwszy raz byłem z nimi w polu, nadzialiśmy się na grupę Ukraińców (nie wiem czy byli to banderowcy), którzy delikatnie mówiąc przyjaznych zamiarów do nas nie żywili. Do naszego schronu staraliśmy się wchodzić, kiedy już było prawie ciemno, żeby jak najmniej spotykać ludzi.

Powodem drugim posiadania broni była szczeniacka duma, dla której w tych latach robi się bardzo wiele. Sprawa posiadania broni była utrzymywana w ścisłej tajemnicy, bo za takie numery można się było znaleźć bardzo szybko w rejonach gdzie chodzą białe niedźwiedzie. Pamiętam jedno własne przeżycie natury psychicznej, kiedy musiałem, a właściwie nie musiałem tylko chciałem, przełamać sam siebie, chodziło o przełamanie strachu. Pewnego razu z Sum przyjechał ojciec Wacka w stopniu plutonowego i rodzina Olczaków tej nocy nie wybrała się do naszego schronu. Zorientowałem się w tym dopiero, jak przyszedłem do nich. Było dość późno bo zaczęło się robić ciemno. Inaczej się idzie w kilka osób nocą a inaczej samemu i jeszcze pod strachem, że można nadzieć się na banderowców, ale do domu przecież nie honor byłoby wracać. W związku z tym bez namysłu poszedłem sam. Z uwagi na ojca Wacka nie brałem z sobą parabelki tylko miałem w kieszeni węgierski granat zaczepny (zawleczkę wyrzywało się za pomocą kawałka okrągłej skórki). Na skraju miasta wziąłem go w garść i tak szedłem. Prawdę mówiąc miałem niezłego pietra. Z góry założyłem, że jeśli będzie mnie zatrzymywać grupa osób, byłem zdecydowany rzucić granat i wiać, gdzie pieprz rośnie. Gdy przechodziłem koło kirkuta (cmentarz żydowski), stało tam kilku ludzi, ale przezornie obszedłem ich w pewnej odległości, licząc na możliwość rzutu. Nikt mnie nie zaczepiał ani nie zatrzymywał, ale strachu to się trochę najadłem. Podchodząc do schronu-legowiska najpierw dobrze rozejrzałem się czy kogoś nie ma w pobliżu i dopiero wpakowałem się do środka i zasnąłem. Ile spałem nie wiem, obudziło mnie jazgotanie artylerii przeciwlotniczej. Wyjrzałem ze schronu i, po raz nie wiem który, patrzyłem jak urzeczony na koraliki pocisków lecących w górę. Chodziło o to, że te koraliki były bajecznie kolorowe. Nie jestem ani Mickiewiczem, ani Sienkiewiczem i nie potrafię oddać tego widowiska, ale to naprawdę fascynujący widok, którego nie zapomina się do końca życia. To jest jedna z prawd wojny, bo jeśli się na tle nocnego nieba widzi ciurkiem lecące różnokolorowe pociski, o kolorach bogatszych niż tęcza, jeśli kopułę nieba przecinają sztylety świetlne reflektorów przeciwlotniczych, jeśli czasem na nieboskłonie zobaczy się rozrywający się samolot wraży, to tego inaczej jak piękno wojny nazwać nie można. Jest to wrażenie niezapomniane do końca życia.

Po nalocie spokojnie wróciłem do domu spędzając dzień tak jak w tych warunkach można było. Kolejnym godnym uwagi i zanotowania momentem była moja duża chęć dostania się do wojska jako ochotnik. Wiekowo byłem za młody, w związku z tym umyśliłem sobie, że kiedy Olczak będzie jechał transportem do Polski przez Zdołbunów to ja się zapakuję do tego transportu i przedstawiając się jako sierota zostaną przyjęty do wojska. W związku z tym przygotowałem sobie nieduży plecak, w którym mieściło się trochę jedzenia (oczywiście za wiedzą matki) i czekałem na mający przyjechać transport. W pewnym dniu od Olczakowej dowiedziałem się, że następnego dnia będzie transport.

Nocowałem tej nocy u Olczaków i nad ranem po przyjeździe transportu pomogłem im zabrać się i sam pobiegłem po plecak do domu. Kiedy przybiegłem z plecakiem niestety już nie zastałem transportu i jak zbity pies wracałem w rodzinne pielesze. Jednak od zamiaru dostania się do wojska nie odstąpiłem i kombinowałem udając sierotę dostać się do jakiegoś polskiego wojskowego transportu, żeby potem zostać wcielonym do armii, ponieważ takie przypadki zdarzały się, jednak i tu nie miałem szczęścia. Raz już byłem bliski sukcesu, ale z uwagi na szybki odjazd transportu nie zostaliśmy z kolegą przyjęci przez pułkownika dowódcę eszelonu wojskowego. Przez Zdołbunów szło sporo takich transportów jednak ich dowódcy nie chcieli czy nie mogli nam pomóc, a mówili, że takie sprawy może dopiero załatwić dowódca w stopniu pułkownika. Potem zachorowałem na dur brzuszny, nastąpiła jesień i przejazd transportów przez nasze miasto już się zakończył, to raz, a dwa to to, że po przejściu duru brzuszego byłem bardzo osłabiony i od zamiaru dostania się do wojska musiałem odstąpić. Tak rozwały się moje marzenia o uczestnictwie w dobijaniu hitleryzmu.

Czy wygrałem, nie wiem, wiem tylko jedno, że gdybym dostał się do wojska moje losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Jedną z możliwości byłoby, że tych wspomnień nie miałby kto napisać i zostawić je dzieciom oraz wnukom, jako świadectwo tamtych nie łatwych czasów, bo jest to główny motyw, dla którego je spisuję.

W międzyczasie żyłem własnym szczeniackim, nieco łobuzerskim życiem. Pewnego razu idąc z Wackiem przez miasto, kiedy jeszcze Zdołbunów był bombardowany, zobaczyliśmy w pewnym momencie stojącą na ulicy furmankę z sianem czy słomą. Wacek akurat niósł małą zapalającą bombkę wagi około dwa kilogramy. Niewypałów wtedy było bardzo dużo i chcąc spowodować zapalenie takiej bombki trzeba było tylko szpikulcem przebić dwa otworki u podstawy takiej bombki i z tych otworów wydostawał się ogień, który bardzo trudno ugasić. Jak zobaczyliśmy tę furmankę obaj spojrzeliśmy na siebie i bez słów wiedzieliśmy o co chodzi. Sprawa polegała na tym, że byliśmy przekonani, iż jest to furmanka ukraińska i ten fakt był w zupełności wystarczający by zrobić draństwo wyższego rzędu, tylko w tym czasie jeszcze tak dobrze nie byliśmy ukształtowani, polski nacjonalizm też w nas kwitł. Niewiele myśląc rozejrzeliśmy się czy jest bezpiecznie, szybko otworzyliśmy otworki w naszej bombce i wrzuciłem ją na wierzch fura. Skutki tego łajdactwa były piorunująco szybkie, fura błyskawicznie stanęła w płomieniach, chłop wybiegłszy nie wiedział co ma robić, czy zrzucić ładunek, czy odcinać konie. W końcu ludzie odcięli konie i odprowadzili od płonącego wozu na ulicy.

Inną ulubioną przez nas zabawą było podkradanie wozów w dni targowe i wyjeżdżanie nimi na ukraińskie sady, żeby ogołocić drzewa z owoców. Bywało tak, że właściciel siedział w domu i przez okno groził nam, my natomiast używaliśmy na drzewach ile wlezie. Po odjechaniu na bezpieczną odległość dzieliśmy owoce między siebie i furmankę pozostawialiśmy własnemu losowi.

W tym czasie przyjaźniłem się od dłuższego czasu, bo od początków okupacji z domem trochę inteligentkim – mowa o Krzeszowcach. Było u nich w domu dwóch chłopaków. Matka w tym czasie wychowywała ich samotnie, bo ojciec na początku 1940 roku chciał dostać się na stronę niemiecką w obawie przed zesłaniem na Syberię, został zatrzymany przez władze radzieckie i znalazł się na zsyłce.

Pewnego razu szedłem z młodszym z nich, z Mietkiem, niosąc przygotowane do zdetonowania, wraz z zapalnikiem ogniowym, dwie „cykorie”, to jest niemiecki materiał wybuchowy, który tak wówczas nazywaliśmy z uwagi na dużą podobiznę do przedwojennego opakowania cykorii (była to namiastka ekstraktu czarnej kawy), szliśmy przez działki i przechodziliśmy koło sadzawki, z której działkowcy brali wodę do podlewania ogródków, były tam również zapuszczone ryby. Idąc w celu spowodowania wybuchu sadzawka wydała mi się najbardziej dogodnym miejscem na taki numer. Niewiele namyślając się zapaliłem lont i szybko wrzuciłem cały ładunek do wody. Skutek był oczywisty, fontanna wody na skutek wybuchu wyskoczyła dość wysoko. Ile ryb przy okazji tego eksperymentu pirotechnicznego uśmierciłem sprawdzić już nie mogłem, bo trzeba było uciekać ile sił w nogach, jako że działkowcy trzymając łopaty i grabie w ręku szybko zbliżali się w celach niezupełnie przyjaznych.

Po wyjeździe Wacka do Polski z powrotem otworzyłem swój zbrojny arsenalik. I tak miałem w swoim posiadaniu obrzynek, to jest karabin z obciętą lufą i trzy czwarte kolby, pistolet bębnowiec i dwa granaty niemieckie z drewnianą rączką. Po co to wszystko gromadziłem – tak dokładnie to nie umiałbym odpowiedzieć, miało się tak na wszelki wypadek. Na pewno w świadomości gdzieś się tliło, że może to będzie potrzebne, bo ciche pogaduszki o utrzymaniu ziem zabużańskich w rękach polskich były dość żywe. Oczywiście w szczeniacki sposób nie zdawałem sobie sprawy z wielu rzeczy i zachodzących nieodwracalnych przemian, ale wtedy to ja taki mądry nie byłem.

Serce i rozum podpowiadają mi, by nie zapomnieć o św. pamięci Wacławie Olczaku oraz jego małżonce pani Olczakowej a mojej, jeśli tak można nazwać, matki okupacyjnej.

Ilekoć nie wspomniałbym domu państwa Olczaków ciągle widzę piękną twarz gospodyni domu, z przeuroczym uśmiechem na twarzy, jak ona nas czule strofowała. Tego nie da się zapomnieć. Sytuacje bywały różne, czasem była potrzeba nocowania w ich domu. Pamiętam jak ona mnie z Wackiem okrywała. Nigdy z domu nie wypuściła mnie na głodno a na odchodnym jeszcze pogłaskała. Po wielu latach mój podziw dla niej nie ustaje. Posiadała rzadką umiejętność osobowościową życia w ciągłym zagrożeniu, o wysokim stopniu jego natężenia. Mało tego, ponadto wykonywała ważniejsze kontakty łącznikowe. Losy tej wspaniałej rodziny były nie tylko smutne, ale wręcz tragiczne. Pana Olczaka latem 1944 roku rozstrzelano, podobno na zamku w Lublinie (ówczesne więzienie). Jego żona z dziećmi po bardzo wielu peregrynacjach powojennych, zaszła się na poły konspiracyjnie w małej osadzie u podnóża Sudetów. Przez wiele lat mężnie i skutecznie znosiła trud wychowywania dzieci. W głębi swego serca nosiła nadzieję, że być może jej mąż jest wśród żywych. Ile krzywd – nie tylko wołyńskich – jeszcze zostało, tego nie spisze na wołowej skórze.

I tak przysła jesień, wydobrzałem po durze brzuszny i trzeba było pomóc matce w utrzymaniu domu, dlatego też chętnie skorzystałem z oferty wujka, który zaproponował mi cięcie u ludzi drewna na zarobek. Wujek i jego kolega już się tym zajmowali i wzięli mnie do siebie. Praca była nielekka, ale na to nie było rady. Zawsze się trochę grosza zarobiło, czasem niektórzy co nas wynajmowali poczęstowali posiłkiem, co też nie było bez znaczenia. Kłopot w tym, że nie zawsze była robota i wtedy było nie do śmiechu. W takich sytuacjach po skumpłowaniu się z jednym z Sidorów wypuszczaliśmy się na obchód dzielnicy Wygon i tylko patrzeliliśmy, gdzie na uboczu chodzi kura, jeśli była dogodna sytuacja to któryś z nas miał co zanieść do domu. W takich przypadkach matka nie pytała mnie skąd ja to przyniosłem, chyba się domyślała. Kiedy mówię o Krzeszowcach, należy pokazać tragedię starszego z nich Kazika i wielu jego rówieśników, którzy musieli przeżyć wiele mąk i beznadziei. Chodziło o to, że do armii „Berlinga” było potrzebne uzupełnienie i wyjątkowo u nas z mobilizacji pobrano do wojska naszych 17-latków, odprowadzaliśmy ich wszyscy tłumnie. Byliśmy już tacy dorośli, że na spokojnie zastanawialiśmy się ilu z nich przeżyje tę wojnę i wróci do domów. Mieli jechać do zgrupowania naszych wojsk do Sum. Okazało się po pewnym czasie, że nasi chłopcy zamiast do Sum trafili na Ural do obozów pracy. Tę perfidną prowokację rozegrali miejscowi nacjonaliści ukraińscy. Spowodowali sobie znanymi sposobami, że naszych chłopców dołączono do transportu złapanych przez radzieckie władze bezpieczeństwa banderowców i wywieziono jako ewidentnych wrogów władzy radzieckiej.

Pisząc o Krzeszowcach godzi się wspomnieć, że dzięki nim jestem taki jaki jestem to znaczy, że lubię czytać i praktykuję do dziś najwyższą formę kształcenia, jaką jest samokształcenie. Przecież głównie to co umiem to nauczyłem się sam, a bez połknięcia bakcyła czytelniczego byłoby to zupełnie niemożliwe.

Wyjazdy moje do Zdołbunowa, według mojej imaginacji, stanowiły pewien stopień niebezpieczeństwa podczas sprawdzania dokumentów w pociągu co często miało miejsce. Z uwagi na to zachowywałem się jak prawdziwy „konspirator”. Wiedziałem, że każda służba sprawdzająca dokumenty ma, powiedziałbym, wrodzony szacunek dla ludzi pracy. W związku z tym skombinowałem kufajkę – jakiegoś autentycznego smarowca wypačkaną tak, że błyszcząca przyschłymi smarami z daleka i tak w pociągach odgrywałem z powodzeniem rolę kogoś z obsługi kolejarskiej. W przypadku sprawdzania dokumentów waliłem prosto na sprawdzających przepychając się przez ludzi, a kiedy dochodziłem do nich bezczelnie mówiłem przepraszam (izwienitie), oni z szacunkiem się usuwali a ja przechodziłem na stronę, która już była sprawdzona jeśli chodzi o tożsamość. Teraz, gdy piszę o tym to sobie myślę, że gdyby tę metodę stosował faktyczny konspirator to też przeszedłby przez kontrolujących. Bywało i tak, że kilka dni przebywałem u Leśniaków w Zdołbunowie. Jeden z takich momentów utkwiał mi do dzisiaj. Wówczas ulice miasta na Wołyniu obwieszone były megafonami, bo wiadomości z frontu generalnie były bardzo pomyślne i optymistyczne. Pewnego dnia pod wieczór staliśmy na podwórku u Leśniaków i w pewnym momencie usłyszeliśmy z głośników... ni mniej ni więcej tylko HYMN POLSKI – „JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA”. Opanowało nas takie uniesienie, że wysławić tego się nie da żadnymi słowami. Po odegraniu hymnu zapowiedziano specjalny komunikat wojenny – Warszawa wolna. W taki sposób Zdołbunowiacy dowiedzieli się, że Warszawa już jest wyzwolona. Trzeba powiedzieć, że władze radzieckie Polakom w Zdołbunowie zrobiły tą formą komunikatu nie lada frajdę patriotyczną, należy dodać, że hymn Polski był powtarzany przez trzy dni. Takie rzeczy się pamięta, bo po tylu latach usłyszeć hymn Polski i po tylu najróżniejszych przeżyciach, wątpliwości co do losów Polski, była to rzecz niezapomniana.

Przebywając w Równem u Julii miałem możliwość zetknąć się po raz kolejny ze zwykłymi radzieckimi ludźmi-żołnierzami. Mogę stwierdzić jedno, że strefa frontowa wyzwala w ludziach nie tylko radzieckich, określone cechy osobowe, to znaczy częściej niż w warunkach normalnych wyzwalają się u ludzi cechy negatywne. To nie znaczy wcale, że te cechy są w zbiorowości żołnierskiej dominujące. Tak nie jest, ale sam człowiek w innych warunkach na pewno byłby inny. To nie znaczy, że żołnierze frontowi nie są dobrymi ludźmi, że nie mają potrzeby pomagania innym ludziom, pomagają i to

niejednokrotnie a dotyczy to wszystkich nacji. Mówiąc o żołnierzach stacjonujących na zapleczu frontowym, szukają oni instynktownie namiastki własnej rodziny.

Do Juli przychodziło trochę żołnierzy radzieckich, m.in. i dlatego, że trzymaliśmy zawsze w domu trochę bimbru, bo na tym można było trochę zarobić. Pamiętałem jak na święto armii radzieckiej przyszło kilku żołnierzy do siostry, by sobie w domowej atmosferze poświętować przy kielichu. Jest u nich zwyczaj, że w takich uroczystych sytuacjach wódkę pije się pod toasty. Jeden z nich postawny starszy już wiekiem żołnierz z pięknym wąsem wznosił toast za żołnierzy gwardzistów. Ten toast to było całe przemówienie na cześć jednostek gwardyjskich (wtedy nie bardzo rozumiałem co to jest ta gwardia). Czulem w jego wystąpieniu wielką dumę z tego, iż on wywodzi się z jednostki gwardyjskiej. Do dzisiaj nieraz myślę jak tego typu sprawy odbierali żołnierze i teraz dobrze wiem kiedy czytam, że tam gdzie było najtrudniej, tam właśnie wysyłano jednostki gwardyjskie i wiadomo było, że niezależnie od stopnia trudności wykonania zadania bojowego, niezależnie od groźby utraty życia żołnierze gwardziści każde zadanie wykonali i na te jednostki dowództwo radzieckie mogło zawsze liczyć. W tym coś jest, co dla nas nie zawsze jest wytłumaczalne i zrozumiałe a nieraz irracjonalne, ale tacy to byli ludzie-żołnierze, którzy nieśli trud tej wielkiej wojny na swoich barkach.

Innym zapamiętanym i godnym uwagi był żołnierz o nazwisku Gusiew, stary żołnierz stalingradczyk. Miał twarz zeszpeconą strzałem z bliska. Opowiadał jak wysłano go pod Stalingradem na rozpoznanie i jak nadział się na posterunek niemiecki, który strzelił mu prosto w twarz a dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności nie dostał się do niemieckiej niewoli. Mam dla tego człowieka dozgonną wdzięczność. Pomagał nam bezinteresownie czym tylko mógł. Ja wtedy byłem w krytycznej sytuacji jeśli chodzi o odzież i ten człowiek przyniósł mi spodnie i bluzę wojskową, była to dla mnie bardzo duża sprawa, bo wtedy naprawdę nie miałem się w co ubrać. Przy tym należy nadmienić, że wiedział iż my, a konkretnie ja miałem wiele wątpliwości i uprzedzeń do władzy radzieckiej. On cierpliwie w bardzo prosty sposób tłumaczył mi wiele spraw. Trzeba tu dodać, że był to zwykły radziecki człowiek, tyle że z dużym doświadczeniem życiowym i przyjaźnie nastawiony do ludzi. Chcę tu podkreślić, że wśród Rosjan było wielu takich ludzi – otwartych na ludzką biedę i niedolę. Dlatego też chyba ja do tej pory mam dla nich wiele uznania i sentymentu, bowiem w tamtych latach dla nas bardzo biednych, głównie pomogli nam ludzie radzieccy. Chociaż Polaków wtedy w tamtych stronach było jeszcze bardzo dużo.

Wczesną wiosną tegoż roku 1945 zachorowałem na malarię. Choróbsko bardzo paskudne, bo człowiek czuje się niby normalnie, a w pewnym momencie dostaje się wysokiej temperatury (ponad 40 stopni) i jest tak potwornie zimno, że rzuca człowiekiem tak, że zdaje się chwilami, że każdy atom ciała trzęsie się osobno. Tak doczekałem 1 maja i tegoż dnia załadowaliśmy się z matką do transportu razem z naszą daleką rodziną i rozpoczęliśmy długą jazdę nie tyle do Polski, ile po Polsce. Należy w tym miejscu podkreślić, że dzięki Tomaszewskiej – najstarszej córce ciotki Leśniakowej – mogliśmy z mamą zapisać się na ten transport. Granicę Polski, rzekę Bug, przejechaliśmy w nocy z drugiego na trzeciego maja, rano zobaczyłem pierwsze miasto za Bugiem – Chełm. Kiedy rozpoczęła się repatriacja, to repatriowana ludność do Polski w nowych granicach była w centralnych rejonach Polski lat 1945-47 dzieckiem niechcianym. Kierownictwa punktów repatriacyjnych na terenach byłej Generalnej Guberni robiły wszystko, by możliwie jak najwięcej Polaków zza Bugu odesłać na ziemie północne i zachodnie. W najlepszym przypadku mawiano „ach, to ludzie zza Bugu” i wszystko było jasne. Sam też wielokrotnie takie traktowanie odczułem boleśnie na skórze.

W Krakowie zastał nas koniec wojny, a jak to było? Z ósmego na dziewiątego maja w nocy staliśmy z transportem na bocznicę krakowskiej. Ludzie w transporcie poza dyżurnymi spali snem zabitego repatrianta. W pewnym momencie obudziła nas potworna strzelanina, słychać było strzały wszelkich możliwych rodzajów broni i kalibrów. Obudzeni ze snu najpierw myśleliśmy, że to nalot niemieckiego lotnictwa, ale samolotów słychać nie było, to nas zupełnie zdezorientowało. Dopiero po jakimś czasie doszła do nas wiadomość, że ta spontaniczna palba ze wszystkiego co mogło strzelać, odbywa się na wiwat, na intencję, że nareszcie po tylu latach ciągłej grozy i niedoli nastąpił koniec wojny, że nastął czas pokoju.

Jaki szal radości nas opanował nie sposób wytłumaczyć ani opisać. Ludzie padali sobie w ramiona, całowali się, składali sobie życzenia, wiwatowali i cieszyli się w niewysłowny sposób. Ci co mieli jeszcze co wypić wyciągali z różnych zakamarków i wypijali na cześć pokoju. W każdym razie ja tego momentu do końca życia nie zapomnę, było to jedyne i niepowtarzalne przeżycie w swoim rodzaju. A w ogóle myślę, że ci ludzie, którzy przeżyli w miarę aktywnie wojnę, noszą w sobie swoistą skazę psychologiczną, która daje o sobie znać w bardzo różnych sytuacjach. Na pewno pomaga w rozumieniu świata współczesnego, ale i niejednokrotnie dzieli moje pokolenie od młodzieży, która z obiektywnych przyczyn nie może nas zrozumieć i ja im się nie dziwię. Chociaż być może czasem mam żal o to, ale jest tak, jak jest.

Z Krakowa wyruszyliśmy w dalszą drogę w nieznaną. W Bytomiu zobaczyłem jak ludność niemiecka (kobiety) pracują pod nadzorem Rosjan. Zdziwiło mnie niepomierne, że miały na rękach rękawiczki, czegoś takiego nigdy w życiu nie widziałem, nawet podśmiewaliśmy się z nich, że toto takie delikatne,

ale w ileś lat potem i myśmy pracowali w ochronnych rękawicach, ale wtedy dla nas Wołyniaków było to cholernie dziwne. Dowieźli nas któregoś maja do Strzelc Krajeńskich, pamiętam, że było blisko Opola. Przyszli przedstawiciele Urzędu Repatriacyjnego i na rym postoju powiedzieli nam, że to miasto jest miejscem naszego przeznaczenia. Wtedy padł na nas blady strach. Nikt nie chciał tu zostać. Po prostu najzwyczajniej baliśmy się, że wywieziono nas za daleko, że jest tu dużo Niemców, którym nie mieliśmy podstawy wierzyć, chociaż jak się potem okazało, to oni się jeszcze bardziej bali i byli w swojej masie bardzo potulni, ale myśmy wtedy o tym nie wiedzieli. Ponadto wiedzieliśmy, że niedaleki Wrocław skapitulował dopiero po 9 maja i klimat nie wygasłej jeszcze do końca wojny wisiał nad tymi stronami. Za wszelką cenę pragnęliśmy znaleźć swoje miejsce pobytu w granicach przedwojennej Polski.

Nie wiem jak i za ile, czy za co załatwili przywódcy naszego transportu odjazd. W każdym razie z tych Strzelc Krajeńskich zaczęliśmy jechać w kierunku wschodnim. Nie pamiętam jak, ale odnaleźliśmy matki brata w Lublinie i z kilkoma tobołkami wynieśliśmy się z transportu. Tak zacząłem swój nowy etap życiowy w Lublinie. Miasto to uważam za drugie swoje rodzinne miasto.

Ja z matką zahaczyłem się w starej chałupie u brata matki, Bolka Lebiody. Zawalisko było znośne, tyle że trochę zawadzały biegające nawet w dzień dorodne i wypasione szczury. W nocy po nas biegały, ale krzywdy nam nie robiły, bo chyba miały gdzieś lepszą wyżerkę aniżeli moje przychudłe kończyny. Od razu stanął ostro problem z czego żyć. Wyszedłem na ulicę 1 maja, żeby rozejrzeć się po najbliższym otoczeniu. Zobaczyłem, że chłopcy w podobnym wieku sprzedają gazety jako gazeciarze. Zorientowałem się gdzie jest składnica gazet. Wziąłem od matki trochę pieniędzy z otrzymanej jednorazowej zapomogi dla repatriantów i jak stary gazeciarski stanąłem w kolejce do składnicy po gazety, na pierwszy raz wziąłem 50 gazet licząc na to, że będę je mógł sprzedać. Rzecz polegała na tym, żeby czasem nie wleźć na zajęty już rejon, a co lepsze rejony były już oczywiście pozajmowane. Wejście w zajęty rejon groziło niezbyt miłymi konsekwencjami, można było zdrowo oberwać. Jedynie dopuszczalne było sprzedawanie gazet bez dłuższego zatrzymywania się w czasie dochodzenia do swego rejonu. Ja jakoś instynktownie od razu skierowałem się na niezajęty rejon. Poszedłem ulicą Bychawską (teraz Kuniciego) w kierunku dzielnicy Kośminek i podmiejskiej wsi Dziesiątej i rzeczywiście sprzedawałem te swoje 50 egzemplarzy. Matka chodziła do różnych restauracyjek, których wtedy było pełno i czasem udawało się jej wykonać pracę, za którą dostawała trochę żarcia lub kilka groszy. Jednak czasem dochodziło do tego, że normalnie chodziła żebrac. Czasem dusiłem w gardle łzy kiedy wiedziałem, że moje biedne matczyisko idzie żebrac, to było strasznie upokarzające, ale takie było moje życie, takie były realne warunki w jakich się znalazłem po przyjeździe do ukochanej i wymarzonej we śnie i na jawie niepodległej Polski. Gazety sprzedawałem dość długo, to znaczy dwa czy trzy miesiące. W sprzedawaniu wyrobiłem się dość szybko i szło mi nieźle, ale do wyżycia było mało. Sprzedając gazety szybko zorientowałem się, że nowa władza ma sporo przeciwników, wiedziałem nawet gdzie tacy ludzie mieszkają i na użytek wykoncypowałem z tytułów gazet odpowiednie prawie antypaństwowe hasło. Wtedy kupowali gazety nie zawsze dlatego, że chcieli czytać, ale dlatego, że gazeciarszczyzna i dawali mi zarobić, a czasem nawet nie żądali reszty. Wtedy między innymi wychodziły takie tytuły gazet jak: „Gazeta Lubelska” – popołudniówka, „Sztandar Ludu” – organ PPR, „Robotnik” – organ PPS, „Wolność” – gazeta armii radzieckiej dla ludności Polski. Anonsując normalnie krzyczało się co ciekawsze wydarzenie znajdujące się w gazetach a kiedy specjalnych wydarzeń nie było, anonsowało się tytuły będące w sprzedaży, np. gazeta lubelska – lub jakaś inna. Ja po pewnym czasie, wiedząc gdzie grupuje się tak zwana reakcja, krzyczałem: „Gazeta Lubelska, Sztandar sprzedany, wolności nie było, został tylko robotnik”, no i wtedy w mig się rozchodziły

Nie wiem jak długo sprzedawałbym te gazety, ale zachorowałem ponownie na malarię i to mocno, leżałem na podłodze w barłogu i trząsałem się z zimna mając bardzo wysoką temperaturę. Moje matczyisko jakoś, gdzieś wyprosiło trochę chininy, bo o sprowadzeniu lekarza nie było co marzyć. Zartem tę chininę, ale jakoś mi nie pomagała, wtedy ktoś doradził, żeby wziąć chininę i popić samogonem. Tak zrobiłem i nie wiem czy pomogła mi chinina i pół szklanki bimbrowa, czy malaria sama miała z mego wątłego ciała wyjść. W każdym razie od tego czasu więcej ataków malarii nie miałem – zostałem z tego paskudztwa wyleczony.

W czasie choroby wyzbyliśmy się z matką wszystkich grosików jakie mieliśmy. Stanął znowu przede mną problem za co się chwycić, żeby chociaż trochę zarobić. W międzyczasie odnalazła matka mieszkających w Lublinie Zdołbunowiaków, Mackiewiczów i oni pożyczili mi pieniądze na setkę papierosów i zacząłem sprzedawać papierosy, za tydzień zarobiłem tyle, że trochę zostawało na życie i mogłem po tygodniu oddać dług. To była duża sprawa i za ten gest zachowałem wdzięczność do dzisiaj. Tu należy dodać, że była to matka mego kolegi, a jednocześnie ciotka Wacka Olczaka co też nie było bez znaczenia. Dzięki nim znowu spotkaliśmy się po pewnym czasie z Wackiem ale to już inna sprawa. Sprzedawałem nie tylko papierosy, kupowałem w tak zwanych sodówkach (małe sklepiki z napojami itp.) lemoniadę i wychodziłem z tym do pociągów na stację i też trochę zarabiałem, czasem matka robiła kwas chlebowy, który też sprzedawałem w rejonie dworca. Na tym zysk był większy, ponieważ surowiec

praktycznie był za darmo, jeśli nie liczyć trochę drożdży, bo resztki chleba czasem w domu zostawały albo były łatwo dostępne od sąsiadów. Tak się wyspecjalizowałem w tym handleczeniu, że jak kiedyś pojechałem do Chełma do mojej najstarszej siostry (ona w tym czasie zaczęła piec i sprzedawać pączki), to jak parę razy z nią poszedłem na bazar, to wyręczałem ją w sprzedaży tych pączków z tym, że mnie sprzedaż szła bardzo szybko, a ona nie mając śmiałości do zachwalania swego wyrobu czekała, aż ktoś sam podejdzie i kupi. Ja natomiast głośno jak wytrawny handlarz zachwalałem pączki przywołując konkretne osoby do kupowania i trzeba przyznać, że mi się ta reklama opłacała, bo pączki rozchodziły się bardzo szybko. Nie przypuszczałem, że zachęcanie do kupowania pączków czy głośne, czasem dowcipne anonsowanie tytułów gazet bądź treści w nich zawartych będą moją pierwszą szkołą polityczną z wyrobieniem umiejętności publicznego występowania.

W tymże samym czasie byłem jeszcze prawie dzieckiem i prawie dorosłym. Dzieciństwo objawiało się w chęci do zabawy, a dorosły sposób widzenia życia zmuszał mnie do robienia wszystkiego, byleby przeżyć. Nie obeszło się bez różnych łobuzerskich numerów.

Znaleźliśmy mały pokoiczek przy ul. Suchej na podmiejskiej dzielnicy Kośminek. W międzyczasie dzięki bardzo porządnemu człowiekowi, panu Lisowi, znalazłem stałą pracę w Lubelskiej Fabryce Maszyn Rolniczych. Dostałem się na najcięższy wydział, na który mało kto z młodzieży chciał iść, na odlewnię. W takich warunkach przepracowałem prawie pięć lat nie licząc czasu, kiedy brałem udział w wyjazdach z grupą operacyjną na zwalczanie rodzimego podziemia zbrojnego i band ukraińskich nacjonalistów.

Po trzech latach zacząłem pracować na własny rachunek. Musieliśmy z matką z mojej uczniowskiej pensji przeżyć, a to naprawdę nie było łatwe, ale miało się tę nadzieję, że za kilka lat będzie łatwiej i to mnie trzymało, bo innej rady nie było, nie miał kto mi pomóc czy mną lepiej pokierować. Kiedy o tym piszę, zastanawiam się, czy moje pokolenie było inne, czy my mieliśmy więcej cierpliwości w dochodzeniu do stabilizacji. Z uwagi na własne życiowe doświadczenia czasem młodych nie mogę zrozumieć, ich niecierpliwości, ale chyba takie jest prawo rozwoju i tak musi być.

(Chełm 1998)